

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI

Warszawa, 12 marzec 1950 r.

Nr 10 (224)

TREŚĆ NUMERU: Alfred Gawroński — Katolicy a walka klas; Michał Eminescu — Modlitwa; Marcel Péguy — Przeciwnicy; Stanisław Podlewski — Nowa edycja dzieł Juliusza Słowackiego; Z teki recenzenta: Zygmunt Lichniak — Bajka i dla dorosłych; Zbigniew Czajkowski — Zamknięte okno marynistyki polskiej; Jan Józef Szczepański — Różdżkarz; Tydzień kulturalny: Leszcz — Burza nad Azją; (tb) — Jubileusz Adwentowicza; Co piszą inni...; Czytelnik uważa, że...

Dominik Horodyński

LIST OTWARTY

W końcu listopada ub. r., naczelny redaktor „Odrodzenia“ rozpoczął druk cyklu pt. „Ludzie za mgłą“. Wypowiedź ta, jak we wstępie zaznaczył Autor, nie miała odnosić się ani do zdecydowanych wrogów nowej rzeczywistości, ani też do ludzi przekonanych o słuszności całego rozwoju rewolucji.

„Uwagi nasze są przeznaczone dla tych kół inteligencji, które wskutek analfabetyzmu politycznego, nie rozumieją biegu spraw, które się toczą, na miarę własnej naiwności oceniają poczynania świata imperialistycznego“ — wyjaśniał Autor.

Jak widzimy, cykl redaktora „Odrodzenia“ miał wyraźnego adresata. Intencją tego cyklu było przekonanie wahającej się części inteligencji, tej części, która według Autora jest „do wzięcia“ przez obóz rewolucji, obóz marksistowski. Czy cykl osiągnął zamierzony cel?

Wypowiedź redaktora Odrodzenia, jak zwykle napisana błyskotliwie i z cechującym Autora talentem, tym razem jednak była nieco nerwowa. Znalazło się w niej wiele drastycznych, często obraźliwych zwrotów — zwrotów zresztą szczególnie rażących inteligenta, choćby przez samą swoją niepotrzebność. W sumie ton wypowiedzi najprawdopodobniej speszzył i odstraszył adresatów. Chyba zorientował się w tym Autor, bo nie ogłosił dalszych zapowiedzianych już części cyklu.

Przypominam sprawę artykułów „Odrodzenia“ bo dla mnie przyszły los tej formacji społecznej — którą zresztą określiłbym nie tylko jako inteligencję, lecz w warunkach polskich po prostu jako pozostałość burżuazji, bo związki ogromnej części inteligencji polskiej z burżuazją były wprost integralne — jest rzeczą naprawdę bardzo ważną. Oczywiście cel, jaki mi przyświeca jest nieco inny od intencji redaktora „Odrodzenia“, choćby dlatego, że nie jestem marksistą.

**

To co mam zamiar napisać nie jest artykułem. Jest to list do klasy społecznej, która mnie wydała, klasy, którą dziś nazwać trzeba burżuazją, a która nie tak dawno jeszcze sama siebie straszliwie dzieliła i różniczkowała, stwarza-

ła wewnątrz siebie trudno przekraczalne przedziały z etykietami: „arystokracja“, „większe i mniejsze ziemiaństwo“, „wielki i mniejszy przemysł“, „interesy bankowe“, „handlowe“ itd. Cała ta potężna wpływem warstwa — po marksistowsku mówiąc — burżuazyjno-feudalna utożsamiała siebie z Polską, uważała siebie za spadkobiercę i reprezentanta polskiej historii i kultury, swój interes utożsamiała z interesem narodowym. Byłoby śmiesznym patosem, gdybym twierdził, że do tej warstwy wystosowuję niniejszym list otwarty. Nie. Robić tego nie mogę i nie potrzebuję po prostu dlatego, że warstwa ta przestała istnieć. Nic już ani społecznie ani towarzysko nie dzieli b. księcia-ordynata i b. dyrektora banku, byłego właściciela dobrych łowisk i właściciela przedsiębiorstwa handlowego, obłożone go domiarem i wzbogaceniem wojennym, restauratora czy kamienicznika.

Cała, tak zdawało się przed paru jeszcze laty potężna i rozbudowana warstwa ścieśniła się do grupy prywatnych znajomych. I nie do nich piszę ten list, choćby dlatego, że go nie przeczytają. Adresatami moimi są ci wszyscy synowie najszerzej pojętej burżuazji, którzy w chwili wybuchu drugiej wojny światowej mieli jak ja lat dwadzieścia, a którzy dotychczas nie potrafili wyzwolić się z klimatu dnia wczorajszego, nie potrafili zdecydowanie stanąć na gruncie nowej rzeczywistości, którzy ten wczorajszy klimat za sobą wloką, roztaczają w około, chowają w nim młodszych braci, zabarwiają styl życia i myślenia niektórych środowisk inteligentkich i niektórych miast. Do Was, do pogrobowców dawnego ustroju wysyłam ten list, bo choć wielu z Was potraktuje mnie za pewne jak renegata własnej klasy, to jednak lepiej się rozumiemy i znamy i łatwiej znajdziecie wspólny język ze mną niż z przedstawicielami klasy zwycięskiej.

**

O czymkolwiek chciałoby się dziś mówić, trzeba się cofnąć pamięcią wstecz, do zwrotnych i przełomowych lat 1944/45. Jak wtedy w oczach naszej klasy przedstawiała się sytuacja? Tragicznie.

Wojna w której braliśmy udział i w której ponieśliśmy wielkie ofiary, skończyła się dla nas klęską. Nie mogliśmy wtedy zrozumieć, że kończy się klęską dla nas a nie dla Polski. Załamanie się rządu londyńskiego, Armii Krajowej i Delegatury uważaliśmy za klęskę narodową. Wtedy nie mogliśmy jeszcze zrozumieć, że klęska spotkała naszą reprezentację klasową a nie naród, bo utożsamialiśmy los tej reprezentacji z losem narodu. Jakież otwierały się wtedy przed nami drogi postępowania? Było ich kilka.

Jedną, to drogą czynnej walki z nowym porządkiem, drogą służącą nie określaną przez rewolucjonistów mianem kontr-rewolucji. Było to montowanie wojny domowej, dywersji, partyzantki i konspiracji przeciw nowemu rządowi. Droga ta była bardzo krótka, zaprowadziła do bandytyzmu, do więzień lub obcych wywiadów, droga krótka, lecz kosztowna i bolesna nie tylko dla burżuazji lecz dla całego narodu.

Druga droga to szukanie ukojenia po klęsce w emigracji — emigracji zewnętrznej lub wewnętrznej. Emigracja zewnętrzna poza inspirowaniem kontr-rewolucji — odebrała Polsce coś około miliona obywateli, czyli znacznie więcej niż wyniosły straty ludzkie Stanów Zjednoczonych w czasie całej wojny. Emigracja wewnętrzna to nie tylko starsi ludzie z naszej klasy, od których ze zrozumiałych względów trudno żądać entuzjazmu i wiary w przyszłość — ale to przede wszystkim Wy. Wy, którzy już piąty rok jesteście emigrantami we własnym kraju.

Była wreszcie droga trzecia, najtrudniejsza i jedyna. Próba odszyfrowania trudnej dla nas prawdy społecznej i politycznej. Próba zrozumienia rewolucji, próba szczerego włączenia się do budowy nowego świata.

Wyjaśnię niżej, jak rozumiem to włączenie się. Wpierw stwierdzić należy, że większa część naszej klasy nie poszła, nie chciała szczerze iść trzecią drogą. Dlaczego?

Marksista odpowie, że żadna klasa społeczna nie kapituluje bez walki, że do walki zmusza ją uwarunkowanie klasowe, instynkt bę-

dący wycuciem własnych interesów społecznych i gospodarczych. Tak odpowie marksista i w dużym stopniu będzie miał rację. Bo choć nie wierzę w determinację klasową to uwarunkowanie trzeba uznać za fakt oczywisty. Lecz można dodać, że ta część burżuazji, do której kieruję swoje uwagi mogła przy końcu wojny zatracić instynkt klasowy. Jej stan posiadania był zasadniczo podkopany, jej pozycja społeczna dość płynna, co ułatwiło zresztą bardzo rewolucję. Pozostaje jednak faktem, że w ogromnej większości burżuazja zachowała się właśnie tak jak przewidywał to klasyczny marksizm. Ja jednak uczynię tutaj rozróżnienie indywidualne, chociażby po to, by jeszcze dokładniej określić, do kogo piszę i po co.

Nie piszę do spekulantów politycznych, którzy w czasie wojny chronili gdzieś z dala od walki swe życie, lub tylko po to szli do konspiracji, by zdobywać osobiste a tuty polityczne na „po wojnie“, po której podzielili się zaraz na dwa obozy: na obóz nazwany przez Miłosza „podskakiwaczami demokracji“, których systematycznie rzeczywistość polska z siebie strząsa i na obóz „Głosu Ameryki“. Do nich nie piszę ani słowa.

Piszę do tych, którzy w pierwszej fazie, przed pięciu czy czterema laty czuli się związani słowem danym rządowi w Londynie, a po tem nie mogli jakoś ustosunkować się do metod stosowanych przez obóz rewolucji i w sprzeciwie w stosunku do tych metod znaleźli usprawiedliwienie wyboru emigracji wewnętrznej. Do nich trzeba jeszcze raz spróbować znaleźć drogę.

Dziś nie trzeba już być politykiem a wystarczy tylko mieć w miarę zdrowe myśli, aby zrozumieć, że cofnięcie słowa danego przed pięć laty rządowi londyńskiemu było nie tylko nakazem rozsądku ale i nakazem odpowiedzialności za los kraju. Warto przez chwilę wywołać apokaliptyczną wizję i wyobrazić sobie jak wyglądałby dzisiaj kawał ziemi między Bugiem a Odrą, gdybyśmy wtedy w ogromnej większości nie cofnęli tego słowa, gdyby nie stało w Lublinie ludzi, z którymi wtedy chcieliśmy walczyć? Taka próba wyobraźni może być dla Was bardzo pouczająca, gdy

idziecie np. przez odbudowany Nowy Świat, gdy patrzycie w okna zawalonych nowymi książkami wystaw.

Okazało się, że polska rewolucja to nie — jak głosiliście — przejściowy skutek przepędzenia Niemców z Polski przez Armię Czerwoną. Okazało się, że rewolucja w sposób nieodwracalny zmieniła oblicze społeczne naszego kraju, że w sposób nieodwracalny wprowadziła Polskę na drogę wiodącą ku socjalizmowi. Jakże straszliwie myliła się burżuazja polska utożsamiając interes własny z interesem narodu! — Dziś z perspektywy ukończenia planu trzyletniego, planu Odbudowy, widać już jasno, że Polska drugiej wojny światowej nie przegrała, że przywódcy rewolucyjni realizowali polską rację stanu, że potrafili wydobyć ze społeczeństwa olbrzymią siłę twórczej pracy, że dziś jesteśmy państwem poważniejszym, współczesniejszym niż przed wojną. Przede wszystkim te rzeczy trzeba widzieć!

Przypomina mi się drobne, lecz charakterystyczne zdarzenie. W 1947 roku w okresie, gdy trzeba było walczyć, by jak największa ilość konspiratorów skorzystała z amnestii spotkałem jednego z przywódców ówczesnego podziemia. Nie chciał się ujawnić, tłumacząc, że najwybitniejszy człowiek w Polsce, genialny polityk, jest temu przeciwny. Któż jest ten pan? — spytałem. To wódz, nazywa się powiedzmy, Makolągwa — usłyszałem odpowiedź. Gdy nieśmiało oświadczyłem, że nigdy nie słyszałem tego imienia, rozinowca mój spojrział na mnie z politowaniem i stwierdził: „to pan w ogóle nie wie kto w Polsce tworzy historię“. Dowiedziałem się potem, że Makolągwa, to dowódca oddziałów partyzanckich w Lubelszczyźnie, które w dwa lata po zakończeniu wojny strzelały do ludzi i paliły wsie. W kilkanaście miesięcy po cytowanej rozmowie byłem w Londynie. Po kawiarniach londyńskich siedzieli różni mocodawcy różnych Makolągwów. Nikt z nich o Makolągwie już nie pamiętał, nie wiedzieli nawet, że taki był, więc bezskutecznie pytałem o wielkiego wodza. Wreszcie ktoś mi powiedział: „ah tak, był taki, ale zdaje się nic mu się nie udało“. — Tak wyglądała strona ideowa i polityczna polskiej kontr-re-

wolucji. A Wy, czy wiecie kto w Polsce tworzy historię?

Na polskim przykładzie widać wyjątkowo dokładnie, że w połowie XX wieku interes klasowy burżuazji rozchodzi się z interesem narodowym, z narodową racją stanu. Wartości te realizuje i reprezentuje klasa robotnicza budująca socjalizm.

**

Rażą was metody rewolucji?

Oświadczyć trzeba z całą siłą, że rewolucja polska jest nie tylko łagodna, ale wyjątkowo łagodna. Trzeba znać trochę historię zwyciężczych ruchów społecznych, trzeba znać historię tych wszystkich przegranych rewolucji, z 1830, 1848, 1871, 1905, trzeba znać rolę jaką odegrały w nich klasy wówczas rządzące, by zrozumieć, że proletariatus nie miał innej drogi tylko drogę przemocy. Burżuazja np. nie patyczkowała się z klasą robotniczą. Skazała ją na bydlęce życie, a jeśli wypuszczała na barykady, to tylko we własnym interesie. Cynizm burżuazji w stosunku do naiwnego wówczas proletariatus i niestety, obłuda tej części burżuazji, która podawała się za katolicką, — były czymś niewyrażalnym w żadnych słowach. Dlatego dopóki cały proletariatus nie uświadomił sobie wyraźnie przynależności klasowej, dopóty wszystkie rewolucje kończyły się we krwi robotniczej, trzeba wiedzieć jak bezwzględnie przelewawnej. Dzisiejsi przywódcy pierwszej zwycięskiej rewolucji znają te doświadczenia własnej klasy, nie dziwie się więc ich surowości, ich twardym metodom. Dziwie się, że te metody mogą być w stosunku do Was tak łagodne.

Może was razi samo pojęcie i hegemonia klasy robotniczej?

Przed stu dwoma laty, podczas rewolucji lutowej francuski tygodnik katolicki i konserwatywny „Correspondent” pisał: „Koniecznym i pilnym reformom przeciwstawia się, po stronie burżuazji, wielkie słowo: to niemożliwe! — odwieczny wykręt złej woli; jeżeli katolicy są konsekwentni w stosunku do swych własnych przekonań, muszą uznać nadejście klasy robotniczej za rzecz, która zjawia się w swoim czasie, jako naturalny rozwój chrześcijaństwa”. — Nie ważne jest w tym wypadku to, że „Correspondent” pisał obłudnie, ważne jest to, że ten język na pewno Was razi, razi Was język francuskiego pisma konserwatywnego sprzed stu lat. Gdzie Wy jesteście?!

A hegemonia klasy robotniczej?

Są np. trudności z przyjmowaniem Waszych młodszych braci na uniwersytety. Na pewno to nie jest dobrze. Ale zastanówcie się chwilę. W stworzonym przez naszą klasę i dla naszej klasy ustroju demoliberalnym, teoretycznie każdy miał równe szanse życiowe. W praktyce, nie tylko uniwersytety, lecz i szkoły średnie dostępne były, z powodu cenzusu majątkowego, absolutnie wszystkim synom naszej klasy i tylko nieznacznie odsetkowi synów robotniczych i drobnochłopskich. Tak było nie tylko ze szkolnictwem, tak było ze wszystkimi prawami społecznymi. Zastanówcie się chwilę uczciwie, czy naprawdę fakt, że w okresie w którym napływ kandydatów do studiów wyższych jest większy niż ilość miejsc na uniwersytetach, klasa robotnicza zabezpiecza sobie wykształcenie przede wszystkim własnej reprezentacji społecznej, własnej inteligencji, jest naprawdę aż tak oburzający? No, a ostatecznie jeżeli ktoś z Was jest zdolny, coś umie, to zawsze znajdzie dla siebie miejsce.

Razi Was walka klas? — Mnie też. Lecz tylko w takim stopniu w jakim razić mnie mogą inne oczywiste fakty, np. mróz w zimie czy upały latem. Bo walka klas jest oczywistym faktem społecznym i jak każdy fakt, głęboko umotywowanym. Przeczytajcie zamieszczony obok artykuł Alfreda Gawrońskiego poruszający to zagadnienie. Czy zachwalany przez Was pokój społeczny i solidaryzm był czymkolwiek innym niż formą walki klasowej, kierowanej przez klasę posiadającą? Inną rzeczą jest stosunek do walki klas, do sprawy budzenia nienawiści. Lecz i tutaj zastanówcie się co jest mniejszym złem: walka w celu wyzwolenia najbardziej uciskanych elementów społecznych, czy tak jak było za hegemonii Waszej klasy, mobilizowanie nienawiści do zjadłej obrony własnych uprzywilejowanych pozycji?

**

Nęka Was szereg chorób. Jedną z nich jest idealizacja przeszłości. Tylko znajomość tej przeszłości może być lekarstwem na to schorzenie. Nie proponuję Wam lektury pamiętników chłopów, robotników, emigrantów czy bezrobotnych z okresu dwudziestolecia, to Was przekonać nie może, bo nie o Waszej mowi przeszłości. Na ogół zresztą nie przeczyacie, że przeszłość proletariatus jest okropna. Ale jakie było „wczoraj” Waszej klasy? Mówią o tym trochę wielkie, klasyczne dzieła literackie epoki rozkwitu mieszczaństwa. Ale w sposób najbardziej autentyczny mówią o tym pamiętniki przedstawicieli szlachty i mieszczaństwa, pamiętniki naszych dziadków. Właśnie leży przede mną pamiętnik Tadeusza Bobrowskiego, którego wielki męski wpływ miał w najbardziej „złoty” czasach, w drugiej połowie dziewiętnastego wieku. Jaki był świat uprzywilejowanej warstwy? — Życie całe obracało się w okół snobizmów rodowych, wokół drobnych świństw osobistych i wokół pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy, tego głównego wyznacznika miejsca społecznego na ziemi. Trzeba wiedzieć ile w tym ciasnym, dusznym światku, — szczególnie w Polsce, — zawiści i podłość warunkowało te wartości, o które dziś się najbardziej do pominacie — godność i wolność człowieka. Gdyby Was jakiś różdżkarz w ten wymarzony Wasz świat przeniósł, udusilibyście się w ciągu tygodnia.

Głosiciele legendy przeszłości w Polsce mają swych braci na zachodzie Europy. To o nich pisze młody katolicki ekonomista Dominique Olxivier: „Wszędzie tam, gdzie proletariatus nie udało się zdobyć władzy i rozpocząć polityki planowej odbudowy, klasa średnia staje się powoli narzędziem nowego faszyzmu, który, energicznie zwalczając proletariatus i entuzjastycznie wychwalał dawne, dobre czasy, darzyć będzie mieszczaństwo złudzeniami nowej przyszłości na parę jeszcze dekad czy parę lat”.

Naprawdę, w kraju w którym proletariatus już zdobył władzę, pora przestać śnić o przeszłości, nie dlatego, że takie sny mogą być niebezpieczne, ale dlatego, że ziścić się nie mogą i nie są warte ziszczenia.

**

Mówicie często: „tak jak my myśli, myśli większość ludzi w Polsce, myśli ogromna część chłopów...”. Z tymi chłopami to jest tak: począwszy od rewolucji z 1789 roku, wszystkie elementy konserwatywne na ich opinie się

powoływały i prawie zawsze na nich opierały. Trzeba przyznać, że w ciągu XIX wieku ze skutkiem. Katolicki historyk francuski Henri Guillemin omawiając wydarzenia z 1848 tak pisze: „Wybory powszechne oczekiwane były przez prawicę z gorączkową niecierpliwością. Bowiem najzupełniej słuszną była ona pewna, że w analfabetyzmie i posłuszeństwie chłopstwa znajdzie wszechpotężną broń przeciwko rządowi tymczasowemu i jego wstrętnym projektom”. Jak się domyślicie, te „wstrętne projekty”, to po prostu projekty pewnych reform społecznych, które istotnie chłopci francuscy w wyborach powszechnych z 1848 odrzucili. Cóż się od tego czasu zmieniło? W układzie społecznym chyba wszystko. Jeżeli dzisiaj część chłopów nie jest przekonana o słuszności rewolucji socjalistycznej to postawić sobie trzeba dwa pytania: czy mają rację? czy będą tego samego zdania za parę lat? Jak sądzicie, gdy analfabetyzm będzie należał do historii, gdy wieś będzie zelektryfikowana a jej struktura gospodarcza uległa głębokiej zmianie, kto wtedy znajdzie wspólny język z chłopem, Wy, czy robotnik z miasta? — Chyba nie może być wątpliwości.

**

„No dobrze, odpowiedź, gdybyś nawet przekonał nas tym artykułem gazetowym, takim jak te wszystkie, które do obrzydzenia czytamy od pięciu lat, to co z tego? Jakże się mamy włączać, kiedy nas nikt nie przyjmie. Czytasz pisma marksistowskie i wiesz, że każdy marksista uznałby tych komunistów, którzy by do nas odnieśli się życzliwie za nosicieli odchylenia zgnió - liberalnego, za „przedstawicieli oportunistycznego stosunku do wroga klasowego”, za nosicieli „teoryjek o wygasaniu walki klasowej, o pokojowym wrastaniu w socjalizm”. Tak przecież mówiono, mówiąc o czujności. O czujności przed kim? — Właśnie przed nami. Nie, mój drogi, dla marksistów pozostaniemy zawsze wrogiem klasowym, który w socjalizm wrócić nie może i musi zostać zniszczony. To tylko kwestia czasu. Jakże się mamy nie opierać?”

Cóż, mnie się zdaje, że jako klasy — nic Was uratować nie może. Historia skazała klasę. Natomiast nie skazała ludzi i od Was tylko zależy czy Wasz los indywidualny będzie taki jak los klasy.

Co mam na myśli mówiąc o obowiązku włączenia się w rzeczywistość polską?

Przed wszystkim: zastanowienie się uczciwie o co w „tej całej” rewolucji chodzi. Jeżeli odpowiedzi sobie, że dzieje ludzkości są jednak pochodem naprzód, że cele ziemskie, cele społeczne o które ludzkość walczy są coraz piękniejsze i szlachetniejsze, to będziecie musieli przyznać, że próba zrealizowania socjalizmu jest czymś lepszym od beznadziejnej obrony chorożego układu burżuazyjnego. Jeżeli przy tym nie jest Wam obojętny los Polski, to czy możecie się nie zgodzić z tym co pisze Jasienica: „Jedną jest na świecie Polska — ta położona między Odrą a Bugiem, ze stolicą w Warszawie. Państwo to w obecnej fazie historii nosi miano Polski Ludowej. I to trzeba uznać”.

„Nie jesteśmy żadnym wyjątkiem a Polska w niczym nie przypomina samotnej wyspy, na której straszy, podczas gdy reszta globu zażywa błogiej szczęśliwości. Radykalne, niewidziane dawniej reformy nie dlatego się u nas dzie

ją, iż kilkunastu panom zamieszkałym w Warszawie i paradującym z tekami ministrów zamarzyła się raptem „radosna twórczość”. Tak wcale nie jest.

Prąd rewolucji socjalistycznej jest siłą wzdymającą dziś powierchnię globu ziemskiego. Całego globu. Świat zmienia skórę, a ta która narasta ma barwę czerwoną”.

Jeżeli nie przekonał Was Jasienica, możecie zapytać jeszcze: po co się włączać? Jeżeli nam nie po doba się kolor czerwony, to niekoniecznie musimy ginąć, możemy na boczku wieść sobie ciche osobiste życie. — Oczywiście, w każdej epoce jest ogromna ilość ludzi, którzy chcą wieść i wiedzą ciche osobiste życie, dostosowując się w miarę możliwości do warunków, żyjąc na boczku i nie rzucając się w oczy. W naszych czasach, kiedy się bardzo gwałtownie przestawia wszystkie meble, jest to ideał życia nieco trudniejszy do zrealizowania, lecz też można go osiągnąć. Ale...

Są między Wami tacy, którzy mają charakter, mają temperament i są w stanie obudzić w sobie poczucie odpowiedzialności. Odpowiedzialności za co? Za pewne wielkie wartości, za los tradycji wielkiego okresu kultury burżuazyjnej.

Współodpowiedzialność za Polskę manifestować się może przede wszystkim najbardziej osmistym włączeniem się w budowę nowego ustroju. Stałym wysiłkiem w rozładowywaniu wszystkich szkodliwych napięć, które w tym trudnym okresie mogłyby dzielić społeczeństwo polskie i utrudniać mu wykonanie historycznych zadań. I wreszcie przez zrozumienie, że przechodzimy przez okres nie sielankowy, przez okres wymagający najwyższej dyscypliny społecznej. Dyscypliny w zakresie budowy nowego ustroju i realizacji polskiej racji stanu w stosunku do tego kierownictwa narodowego, które jest i które wzięło na siebie odpowiedzialność za przeprowadzenie Polski przez ten etap historii.

Odpowiedzialność w stosunku do tradycji kulturalnej manifestować się może przede wszystkim w największej trosce o przekazanie tej tradycji nowej klasie społecznej. Klasa ta zresztą daleka jest od barbarzyństwa, o które zawszeście ją podejrzewali. Z największym pietyzmem odnosi się do wielkiej spuścizny kulturalnej i chociaż to zagadnienie jest dla niej nowe, odróżnia jednak rzeczy ważne od mniej ważnych. Za sprawę zachowania ciągłości kultury, za uratowanie wrażliwości nowych ludzi na te wszystkie rzeczy na które wy byliście wrażliwi, które dawały Wam radość i głębszą wiedzę o świecie — Wy jesteście bardziej od kogokolwiek innego odpowiedzialni. Lecz by te wartości móc przekazać trzeba wzbudzić zaufanie u tych, którym chce się przekazywać. Bez mitologizowania żadnej klasy, trzeba jednak mieć postawę pokory w stosunku do tej, która w ciężkiej walce i własnym wysiłkiem wzięła odpowiedzialność za naszą przyszłość.

Są wreszcie sprawy światopoglądowe. Nie piszę o nich szerzej, bo „Dziś i Jutro” stale je porusza. Marksizm-leninizm jest siłą rozbijającą stary świat i budującą zręby nowego. Lecz nigdzie nie jest powiedziane, że gdy ten nowy gmach stanie to filozofia jego musi być materialistyczna. Sojusz się postępu bez względu na

ich zabarwienie ideologiczne, jest faktem oczywistym w obliczu zagrożenia regresją społeczną i kulturalną ze strony imperialistycznej fazy kapitalizmu. Zagadnienia natury filozoficznej i światopoglądowej, nie mogą determinować linii podziałów politycznych. Garaudy, komunista francuski, uważa za drugorzędne, jaka będzie filozofia przyszłego świata. Chodzi o to, kto w tej chwili w budowie jego przeszkadza.

**

Na koniec jeszcze jedna sprawa. Zapyta pewno nie jeden: „Tak tu piszesz, to czemu nie jesteś w Partii”. Tak, nie jestem i nie będę. Z wielu powodów.

Przed wszystkim dlatego, że nie uważamy, czemu niejednokrotnie daliśmy wyraz na łamach „Dziś i Jutro”, aby materializm dialektyczny miał stanowić jedyną podstawę socjalistycznego ustroju społeczno-gospodarczego, co jest zasadniczym założeniem Partii. Twierdzimy, że wprawdzie w okresie walki z kapitalizmem założenia materializmu dialektycznego nadają działalności dużą skuteczność, tym niemniej budowa nowego porządku w świecie musi być oparta również o wartości absolutne, które zawiera przede wszystkim światopogląd katolicki. Naszą codzienną postawą staramy się przekonywać, że można przewyciężyć konflikt pomiędzy walką z kapitalizmem i budową nowego, socjalistycznego ustroju społeczno-gospodarczego, a naszym katolickim światopoglądem.

Zresztą wiecie przecież, że wywodzę się z tego samego co i Wy środowiska i wszystkie Wasze niepokoje i opory przeżywałem razem z Wami.

Jestem pewien, że w epoce rozbicia wielkich porządków trzeba być szczególnie uczulonym na to co się robi, że patrzeć trzeba nie na szczegóły, ale na kierunek i cel wywołanych zdarzeń, że trzeba wyraźnie odpowiedzieć sobie na pytanie, który cel jest lepszy i sprawiedliwszy, po której stronie buduje się nowy lepszy świat. A na pewno nie można i nie wolno zaniechać drogi dlatego tylko, że miejscami jest ona przykra czy nawet bolesna. Bo gdy raz się dokonało wyboru, trzeba ponieść jego pełne konsekwencje. A to nie zawsze jest łatwe.

Gdy mówiłem, że rewolucja polska jest wyjątkowo łagodna, zaznaczyłem wyraźnie: łagodna w stosunku do naszej klasy. Bo rewolucja sama dla siebie i sama w sobie łagodna nie jest. Jest twarda a nawet brutalna — bo jest rewolucją. Nam znacznie trudniej adaptować się do tej surowości niż przedstawicielom nowych klas. Cóż, na to nie ma rady. Jeżeli chce się uczestniczyć w wielkim eksperymencie społecznym, w największej może przygodzie ludzkości, to trzeba umieć zrezygnować z wielu przyzwyczajęń, z wielu wygod i nawet z wielu skąd inąd szlachetnych przyjemności. To tak jak na wojnie. Klimatu cieplarni nie ma i nie będzie. Gdzie znaleźlibyście nawet ludzi, którzy dla waszej przyjemności chcieliby opalać cieplarnie?

Oczywiście, z wojny można zerzerować, można też wykręcić się z wojska takim czy innym sposobem. Ale żadna z tych ewentualności nie prowadzi do godnej postawy. Obie zaprowadzić muszą do podzielenia losu całej, ginącej formacji społecznej. A świat pójdzie swoją drogą.

Dominik Horodyński

ALFRED GAWROŃSKI

KATOLICY A WALKA KLAS

Przypuszczam, że do końca historii toczyć się będą spory wokół doraźnych, politycznych konsekwencji wpływających z samej treści orędzia ewangelicznego. Nasze bowiem zrozumienie **praktycznego** znaczenia prawd wiary jest zawsze w historii niepełne i jednostronne, zwiększając się jednak w miarę postępowania zbiorowego doświadczenia całej społeczności ludzkiej dążącej w swoim życiu historycznym do królestwa Bożego. **Mechaniczne** zatem przykładanie prawd wiary do zagadnień określonego momentu historycznego jest niemożliwe i prowadzi zawsze do formalizowania i spływania społeczno-politycznych przesłanek katolicyzmu.

Kiedy katolik stawia sobie pytanie jaka postawa polityczna najlepiej wyraża jego światopogląd, jaka postawa najskuteczniej przyczynia się do przybliżania Królestwa Bożego, musi zdać sobie sprawę, że właśnie wskutek tej niepełności i względności naszego zrozumienia Prawdy Ewangelicznej, jak też wskutek pomieszania dobra i zła w świecie, nie ma **bezpośredniego** przejścia od teologicznych, filozoficznych i moralnych sformułowań do jakiegokolwiek postawy politycznej. Jednak dokonanie tego przejścia jest konieczne.

Pozostawiamy idealizmowi rozbiwanie ducha na odrębne i niezależne sfery pojęciowe i sfery działania. Naszym zdaniem najistotniejszą potrzebą dzisiejszego świata jest odnalezienie jedności człowieka, jest konieczność powiązania naszej wiary z praktyką, a więc z naszą działalnością polityczną. Fakt, że powiązanie to nie jest łatwe, że nie może odbyć się drogą mechanicznego przykładania doktryny do rzeczywistości zawsze dwuznacznej i mieszanej, bynajmniej nie zwalnia nas od obowiązku pogłębiania społecznych przesłanek katolicyzmu. Dlatego też uważamy, że spory i dyskusje na ten temat są nie do uniknięcia i że są zawsze zdrowszym objawem aniżeli postawa tych katolików, którzy chcieliby wiarę religijną od swojej działalności politycznej całkowicie izolować.

Prawie wszędzie tam, gdzie katolicy są zaangażowani politycznie, spotykamy próby formułowania konkretnych wytycznych swia topoglądowych.

Wytyczne owe są różne i prowadzą katolików do bardzo odległych od siebie pozycji, co już samo chociażby dowodzi trudności powiązania ogólnych norm moralno-filozoficznych z zaangażowaną postawą polityczną. Powiązanie to wymaga nowego, twórczego wysiłku wyodrębniającego istotę chrystianizmu od wszystkich historycznych, kulturalnych i psychologicznych narostów, wyrażających wpływ pewnych typów poglądów danej cywilizacji na pojmowanie niezmiennych prawd katolicyzmu. Prawdy te tylko **poza** historią mogą być zrozumiane w całej swej wielkości i czystości. Stąd zapewne tak łatwo jest tym, którzy mylnie widzą w katolicyzmie ochronę własnych interesów prestiżowych — łączyć ideę chrześcijańską ze sprawami nie mającymi z chrystianizmem nic wspólnego.

**

Jest chyba sprawą bezsporną, że najistotniejszą przesłanką ka-

tolicyzmu w dziedzinie społeczno-politycznej jest nakaz budowy społeczeństwa opartego na przykazaniu miłości. Do przykazania miłości sprowadzić można całą „doktrynę społeczną“ zawartą w Ewangelii. Fakt, że pozytywny stosunek człowieka do człowieka (wyrażający się nie tylko w praktycznej współpracy, lecz również w wewnętrznej postawie życzliwości i braterstwa) jest istotą „programu społecznego“ wypływającego z Prawd Ewangelicznych, jest oczywisty dla każdego katolika. To co sporne, to co winno być przedmiotem ogólnej rewizji i pogłębienia, to dotychczasowe tradycyjne poglądy społeczne katolików, usiłujących stworzyć wzorce teoretyczne, w których miłość i braterstwo mają unicestwić wewnętrzne przeciwieństwa ustroju kapitalistycznego.

**

Kiedy pod koniec XIX wieku masy proletariackie dojrzały powoli w uświadamianiu swojego stanu i swoich praw, kiedy wskutek tego uświadomienia zaczęły się buntować i organizować swoją walkę o nowy sprawiedliwszy ustrój społeczny, ze strony katolików rzucone zostaje hasło **solidaryzmu ponadklasowego**. Marksistowskiej teorii **walki klas**, przeciwstawiony zostaje postulat „współpracy klas“ nie tylko jako postulat taktyczny, lecz jako **ideał** prawdziwie chrześcijańskich stosunków w życiu społecznym. Stanowi to znamieny przykład takiego właśnie mechanicznego przykładania norm moralnych do zagadnień społecznych i politycznych, o jakim pisałem wyżej. **Mechanicznie**, gdyż normy etyczne są przykładane do rzeczywistości, w której brany jest pod uwagę tylko aspekt **stacyjny**, chwilowy, a więc formalny — a nie jej **treść** rozwojowa, jej nowe, wyższe możliwości duchowe, jej dynamika historyczna.

Teoria tzw. „współpracy klas“ jest może najlepszym przykładem formalizowania chrześcijańskiego ideału społecznego i wiązania go z systemem stosunków społecznych, których **zasadnicza**, a nie **przypadkowa** niesprawiedliwość, staje się coraz bardziej oczywista dla człowieka pracującego. Nasze jednak potępienie doktryny solidaryzmu nie wynika tylko ze stwierdzenia jej ahistoryczności, lecz przede wszystkim z faktu, że nie realizuje ona, albo realizuje tylko **formalnie** społeczne przesłanki katolicyzmu, nakazujące dążenie do społeczeństwa, opartego na prawie miłości i braterstwa.

Fikcją jest mówienie o braterstwie w klasowym systemie społecznym, w którym jednostki klas uprzywilejowanych stykają się tylko marginesowo w swoim życiu tak prywatnym, jak i publicznym z jednostkami klas społecznie upośledzonych. Braterstwo, przyjaźń — jednym słowem **pozytywny** i chrześcijański stosunek człowieka do człowieka — panować może tylko w takiej społeczności, czy grupie ludzkiej, której członkowie są sobie bliscy w swoim życiu wewnętrznym i zewnętrznym. Fakt ten jest ciągle podkreślany w filozofii tomistycznej: „**Przyjaźń** — pisze św. Tomasz — **to znaczy połączenie czy zrzeczenie przyjaciół nie może istnieć między**

jednostkami za bardzo odległymi od siebie. Przyjaźń jest możliwa jeśli jednostki zbliżone są do siebie, jeśli deszły do równości między sobą. Jest funkcją przyjaźni używanie w równy sposób równości, która już istnieje między jednostkami, jest funkcją sprawiedliwości doprowadzenie do stanu równości tych, którzy są nierówni: **Kiedy równość jest osiągnięta dzieło sprawiedliwości jest dokonane. Równość jest więc celem sprawiedliwości. Jest podstawą i początkiem przyjaźni.** („Komentarz do Etyki“, księga 8, lekcja 7).

Trzeba tu zaznaczyć, że kiedy stwierdzamy sprzeczność między pojęciem braterstwa, a życiem społecznym, opartym na podziale klasowym, mamy na myśli tylko takie stosunki, które są **typowe** dla danej formy społecznej. Nie negujemy bynajmniej możliwości heroicznego przełamania przez jednostkę tego, co ją oddala od innych, stworzenia z nim braterskiego stosunku **ponad** uwarunkowaniami społecznymi, na podstawie naturalnej równości człowieka. Lecz nie ma nic bardziej niebezpiecznego jak idealizowanie rzeczywistości ludzkiej, zwłaszcza w zakresie życia społecznego i politycznego, w którym działanie sił irracjonalnych i egoistycznych jest może jeszcze większe, niż w życiu prywatnym. Jak mówi Maritain: „Absurdem jest oczekiwać od społeczeństwa, aby uczyniło ono poszczególnych ludzi, dobrymi i braterskimi między sobą, lecz można wymagać, aby jego struktura, instytucje i prawa były dobre i oparte na duchu przyjaźni braterskiej, aby tym bardziej, społeczeństwo kierowało życie ku takiej przyjaźni, im bardziej jest ona trudna dla synów Adama, mimo swych naturalnych podstaw“.

Z filozoficzno-społecznej, zasady wyrażonej przez św. Tomasza w przytoczonym zdaniu (można by tu zacytować wiele zdań podobnych) wynika stwierdzenie głębokiej wewnętrznej sprzeczności, za wartę w pojęciu „współpraca klas“ czy „solidaryzm ponadklasowy“. Kryje się za nią próba połączenia tego, co połączyć się nie da: systemu społecznego, opartego na podziale klasowym z chrześcijańskim ideałem społeczeństwa braterskiego. Mówienie o współpracy między ludźmi na podstawie nierówności, na podstawie klasowej jest nieznośną hipokryzją. Szczerze możemy tylko mówić w tym wypadku o serwilizmie człowieka rezygnującego z walki o prawa swoje i swoich współtowarzyszy niedoli z jednej strony i o interesownym patriarchacie z drugiej. Słowa św. Tomasza są jasne: „**Równość jest celem sprawiedliwości i jest podstawą i początkiem przyjaźni.**“ Nie chodzi tu naturalnie o równość **mechaniczną** zapożyczając wszelkie różnice wartości pomiędzy jednostkami, lecz o tę **równość zasadniczą**, dzięki której szerokie życie społeczne, w jakim egzystują jednostki jest jedynym, **podobne w swoich możliwościach** dla każdego, o równość, w której uwarunkowanie zewnętrzne, jakim jest stopień uposażenia materialnego, nie oddala jednostek od siebie, umożliwiając im w praktyce braterski stosunek. Niezauważenie w potrzebie równości społecznej — wartości humanistycznych, umożliwiających pra-

cę nad społeczeństwem, w którym miłość chrześcijańska byłaby faktem a nie frazesem — jest grzechem prawie nie do odrobienia. Stworzony został mit chrześcijańskiego ustroju społecznego, który miałby powstać w wyniku „poprawienia“ systemu kapitalistycznego. Głoszono możliwość oparcia życia społecznego na ewangelicznym duchu braterstwa przy równoczesnym utrzymaniu ekonomicznego, kulturalnego i towarzyskiego getta, tworzonego w konsekwencji różnicowań klasowych. Zamiast starać się wpłynąć na istotny rozwój historii, zdążającej ku wyższym formom współżycia społecznego, zamiast chrystianizować od początku siły, które o te nowe formy walczyły, katolicy zwrócili swoją uwagę jedynie na chrystianizację przeżywających się struktur społecznych kapitalizmu.

Lecz ta droga chrystianizowania świata współczesnego nie wyszła poza obręb dobrych intencji. W miarę posuwania się moralnego i ideowego rozkładu starego świata „duch“ kapitalizmu okazywał się coraz bardziej sprzeczny z duchem chrześcijaństwa. Im dalej rozkład ten posuwał się, klasy posiadające tym bardziej kurczowo trzymały się katolicyzmu, za którym starały się ukryć swoją bezideowość i swoją niezdolność do jakiegokolwiek formy działania i poświęcenia.

Jednostka klasy pracującej wraz z budzeniem się własnej godności, obrażonej i poniżonej stawała przed fikcyjnym, ale niemniej tragicznym dylematem wyboru pomiędzy katolicyzmem, który w rozumieniu większości swoich przedstawicieli, duchownych i świeckich, uważał za słuszny zasadniczy podział na dwie klasy społeczne, wprowadzony przez ustrój kapitalistyczny, a po stawą walki o równość społeczną, która aż do niedawna utożsamiona była z odrzuceniem światopoglądu katolickiego. Pamiętamy wszyscy słowa Piusa XI, który w rozmowie z założycielem J. O. C. u — ks. Cardijn określił utratę klasy robotniczej, jako największą klęskę katolicyzmu w wieku XIX-tym. Dopiero pod wpływem wielkich wstrząsów historycznych pierwszej połowy tego wieku, pod wpływem stopniowego oddalania się od katolicyzmu klas robotniczych, katolicy zaczęli się zastanawiać nad słusznością swoich też społecznych.

Revolucja komunistyczna, która z tragicznego doświadczenia wojny nabrała nowego wigoru, zaskoczyła wielu z nas. Dziś niewątpliwie pokutujemy za dawne błędy, za niewykorzystanie możliwości wniesienia wartości chrześcijań-

skich do rewolucji, wtedy, kiedy jeszcze się kształtowała w sercach milionów ludzi.

Formalne, jednostronne przedstawienie katolicyzmu w jego konsekwencjach społecznych zniechęciło i odwróciło od niego masy, którym pod hasłem solidaryzmu wzbraniało prawa do walki przeciwko systemowi wyzysku, nie mającego nic wspólnego z dobrotą i złą wolą danej jednostki, bo wynikającego z samej istoty kapitalizmu.

Prowadzenie walki klasowej w okresie rozkładu kapitalizmu nie ogranicza się bynajmniej do obozu rewolucji. Również klasa posiadająca tam gdzie jest klasą rządzącą, prowadzi stałą i bezwzględnie walkę klasową przeciwko światu pracy. Odmienne są tylko cele tej walki. Z jednej strony jest nim nowy, sprawiedliwszy ustrój społeczny, podczas gdy z drugiej chodzi o utrzymanie a nawet polepszenie egoistycznych przywilejów ekonomicznych. Walka biednych o godniejsze życie człowieka w społeczeństwie, jak każda walka dla słusznego celu nie ma sama w sobie nic niezgodnego z etyką katolicką. Jeśli przybiera ona czasem charakter nienawiści, to powinniśmy przede wszystkim winić samych siebie, bowiem naszą senną biernością, naszą frazeologią uczyniliśmy niezrozumiałymi te wielkie wartości duchowe i moralne, które nam powierzono. Jak już to podkreśliłem wyżej, rola instynktów i uczuć jest jeszcze większa w życiu społecznym i politycznym, niż w życiu osobistym. Wszystkie wielkie kryzysy historyczne łączą się z wybuchem sił irracjonalnych. Masją katolików jest naturalnie zwalczanie takich potęg w działaniu człowieka, obojętnie — czy cel jest słuszny, czy nie. Lecz zauważenie w walce klasowej tylko zła, które się z nią łączy, tylko nieporozumienia i nienawiści (którą walka klasowa nie tyle tworzy, ile raczej ujawnia) świadczy o karygodnym zaślepieniu, o niezrozumieniu samej istoty konfliktu. Rewolucyjna walka o zniesienie niesprawiedliwości ustroju kapitalistycznego odwołuje się w gruncie rzeczy do tego, co jest najlepsze w człowieku, do jego uczuć najbardziej prawych. Zupełnie negatywne, czy bierne ustosunkowanie się do niej katolików w przeszłości pociągnęło za sobą tragiczne konsekwencje. Dziś staje przed nami zadanie, którego ogrom przeraża niezmiernie nasze siły, zadanie, którego byśmy się nigdy nie podjęli, gdyby nie wiara w niewyczerpalne siły Prawdy Ewangelicznej. Zadaniem tym jest wnieść ducha katolicyzmu w budujący się socjalistyczny ustrój społeczny.

Alfred Gawroński

Michał Eminescu

MODLITWA

Prosimy Cię o łaski dar,
o Gwiazdo Morza, zsić swój czar,
od zguby, co zalewa nas,
poratuj kraj w najgorszy czas.
Zjawia się Twa wyniejsza,
modlących nas zachwyca,
o Matko przeczystsza,
po wieki wiek Dziewico,
Maryjo!

1847

Tłum. K. Hłakowiczówna

Marcel Peguy

Tłum. Karol Zajczniewski

PRZECIWIW NĘDZY

Przed kilku tygodniami minęła 50-ta rocznica powstania pisma „Cahiers de la Quinzaine”, którego założycielem i redaktorem był wybitny katolicki publicysta i poeta, Karol Péguy (1873—1914), jeden z twórców odrodzenia katolicyzmu we Francji.

Karol Péguy może być słusznie uważany za prekursora postępowej katolickiej myśli społecznej dnia dzisiejszego. Historyczną zasługą Péguy było uznanie walki przeciw nędzy za obowiązek moralny wszystkich chrześcijan; walka ta będzie, zdaniem Péguy, skuteczna dopiero wtedy, gdy odbywać się będzie nie przez kazania i uczynki miłosierne, ale poprzez działania polityczne, działania rewolucyjne, zmierzające do zmiany istniejącego ustroju społecznego, sankcjonującego stan nędzy. W swojej wnikliwej krytyce ustroju burżuazyjnego wykazuje Péguy duże wyczucie rzeczywistości, uznając go za ustrój niekończącej się wojny społecznej i wiążąc nadzieję odrodzenia ze zwyczajstwem zdrowej moralnie klasy robotniczej.

Wprawdzie Péguy nie urzeczywistnił swego programu politycznego, wycofując się z czasem w ogóle z życia politycznego, na skutek zetknięcia się z rozkładem moralnym u swych pierwotnych sprzymierzeńców — socjalistów parlamentarnych, niemniej jego postawa społeczna nie utraciła nic na słuszności i dziś zapewne w jeszcze większym stopniu niż dawniej wyznacza katolikom właściwy kierunek drogi. Myśl Karola Péguy, którą można uważać za stadium utopijne postępowej katolickiej myśli społecznej, winna dziś znaleźć kontynuację i rozwinięcie. I nie tylko myśl; na naśladowanie zasługuje również czystość życia osobistego Péguy, śmiałość jego postawy społecznej przy równoczesnej szczerości i głębokości religijnego przeżycia, jego pojmowanie polityki jako powołania a nie narzędzia urzeczywistnienia ambicji.

Poniższy fragment jest skróconym rozdziałem z książki Emmanuela Mounier, Marcela Péguy i Georges Izare pt. „La pensée de Charles Péguy”, opisującym jak z buntu przeciw nędzy zrodziło się polityczne powołanie Karola Péguy. Rozdział ten, napisany przez jego syna Marcela, nosi w oryginale tytuł „Le scandale de la misère”. K. Z.

Do polityki popchnęła Péguy nie ambicja ale powołanie. Poświęcił się polityce — a w ciągu kilku lat poświęcił się jej niemal wyłącznie — ponieważ był przekonany, że zło wynika w istocie z wadliwej organizacji samego życia i władzy w społeczeństwie, zaś indywidualne wysiłki skierowane przeciw temu złu — miłosierdzie — są bezskuteczne.

Co więcej — jego polityka nie jest bynajmniej polityką odziedziczoną, przyjętą i jedynie poprawioną i zmodyfikowaną więcej lub mniej według zapartywań osobistych. To między innymi stało się przyczyną jego chwilowej klęski. Kiedy bowiem chciał przejść od teoretycznych rozwiązań problemu nędzy do działania, do walki przeciw nędzy, znalazł się całkiem osamotniony, nawet w dziedzinie słownika. Poza „Premier dialogue de la cité harmonieuse”, który był pisany zaledwie dla kilku przyjaciół i w którym Péguy starał się definiować obszernie swoje terminy, zmuszony był używać tych samych określeń — „socjalista”, „kolektywista”, „rewolucjonista” — co pewna ilość polityków tej epoki. Stąd zrodziły się nieporozumienia; Stąd owo gorzkie rozczarowanie, które go potem doprowadziło do wyrzeczenia się wszelkiej działalności politycznej bezpośrednio, do usunięcia się do „Cahiers” i nieczynienia nic więcej poza krytyką polityki innych

oraz filozofią. Zanim przejdziemy do tego zagadnienia słownictwa, do terminów, którymi Péguy wyrażał swoją myśl polityczną, a które miały u niego znaczenie często tak odmienne od potocznego znaczenia tych samych słów, zanim do tego przejdziemy, trzeba naprzód poznać jak się zrodziło powołanie Karola Péguy, jak nim wstrząsnęła nędza społeczna.

Otwórzmy dramat „Joanna d'Arc”. Joanna mówi do Hauviette:

„Ciągle mam jeszcze przed oczami tych dwoje dzieci jak schodzą ścieżką w dół; większy chłopiec ciągnął mniejszego; krzyczeli: „Jestem głodny, jestem głodny...”. Słyszę ich dotąd. Dałam im moją żywność. Rzucili się na nią jak zwierzęta; a ich radość sprawiała mi ból, gdyż mimowoli pomyślałam o tych wszystkich głodnych, którzy nie jedzą; o tych wszystkich nieszczęśliwych, którzy nie znaleźli pocieszenia, o tych wszystkich, którzy nie chcą by ich pocieszano; i czułam, że oczy zachodzą mi łzami; a wówczas odwróciłam głowę, aby nie sprawić smutku przynajmniej tym dwojgu”.

Całe brzemie nędzy, gniotące nasze społeczeństwo, poznał Péguy nie w Domremy, ani nawet nie na przedmieściach Orleanu, ale dopiero w Paryżu, w dzielnicach robotniczych.

„Mieszka się prawie zawsze nędzę z ubóstwem; pomieszanie to wynika stąd, że nędza i ubóstwo są zbliżone; są one bezwzględnie zbliżone, ale położone po obu stronach granicy. Jest to granica dzieląca ekonomię z punktu widzenia moralnego; ...z tej strony granicy znajduje się nędzarz, który bądź to ma pewność, że jego życie ekonomiczne jest niezabezpieczone, bądź nie ma żadnej pewności czy będzie ono zabezpieczone”¹⁾

Granica dzieląca ekonomię z punktu widzenia moralnego... Tu leży istota zagadnienia. Jeśli wszyscy ludzie w społeczeństwie są poza tą granicą, jeśli wszyscy mają życie ekonomiczne zabezpieczone, jeśli — mówiąc inaczej — istnieją biedni, ale nie ma nędzarzy, wówczas działanie polityczne, dążenie do reformy społecznej i stworzenia społeczeństwa harmonijnego nie jest jeszcze dla jednostki obowiązkiem ściśle moralnym. Zgodnie z zasadami sprawiedliwości jednostka ma wówczas prawo żyć dla siebie, żyć własnym życiem w społeczeństwie niedoskonałym. Ale w wypadku przeciwnym nigdy:

„Z prawa, z obowiązku, z moralności wynika, że pierwszym zadaniem społecznym lub — mówiąc ściślej — zadaniem społecznym przedwstępnym, natychmiastowym, tym, które poprzedza wszelkie inne — zadaniem niezbędnym, przed wykonaniem którego nie mamy nawet o czym dyskutować ani badać jakie społeczeństwo byłoby lepsze czy też mniej złe, ponieważ do czasu wykonania tego zadania nie ma nawet społeczeństwa — tym przedwstępnym zadaniem społecznym jest wydarzenie nędzarzy z nędzy, wyprowadzenie nędzarzy z królestwa nędzy, przeprowadzenie wszystkich nędzarzy poza fatalną granicę”²⁾

Tak więc „wiele problemów ekonomicznych, moralnych, społecznych czy nawet politycznych zostałoby przedwstępnie wyjaśnionych gdyby wprowadzono do rozważań pojęcie tej granicy czy też raczej gdyby je poznano jak należy”³⁾

Prawdziwa nędza jest najwyższą, całkowitą formą zła dla jednostki: „Nędzarz otrzymuje w samej nędzy najpełniejszy wyraz beznadziejności; nędzarz nie widzi świata tak jak go widzi socjolog; nędza nie jest częścią jego życia, częścią jego zmartwień, bez uszczerbku dla reszty; nędza jest całym jego życiem, jest niewolą bez wyjątku; to nie tylko orszak niedostatków, chorób, brzydoty, beznadziejności, niewdzięczności i śmierci; to śmierć za życia, to wieczne męczarnie Antygony”⁴⁾

Nędza jest ciężka nie tylko dlatego, że pociąga za sobą cier-

pienie. Joannę nie tylko przeraża głód, który cierpi dwoje dzieci-włóczęgów. Myśli również o potępieniu dusz. Nędza jest instrumentem degradacji moralnej. „Nędza nie tylko czyni nędzarzy nieszczęśliwymi, co jest ciężkie, ona czyni także nędzarzy złymi, szpetnymi, słabymi — co jest niemniej ciężkie; burżuizj może sobie szlachetnie i logicznie imaginować, że nędza jest środkiem kultury, ćwiczeniem cnoty; my socjaliści wiemy, że nędza ekonomiczna jest bezwzględnie przeszkodą dla ulepszenia moralnego i umysłowego, ponieważ jest instrumentem nieograniczonej niewoli. Dlatego też jesteśmy socjalistami”⁵⁾

Dlatego jesteśmy socjalistami. Péguy zaparł się więc nauk, jakie dawała mu o świecie jego matka⁶⁾; przestaje wierzyć, że nędza jest sankcją przeciw próżniakom i pijakom. Głosząc, że nędza jest stanem oburzającym, oskarża on samo społeczeństwo jako odpowiedzialne za ten stan.

Péguy zaparł się nauk swojej matki. W Orleanie wyrastał w środowisku nie nędzy ale ubóstwa, w środowisku gdzie można z nędzy wydobyć przynajmniej samego siebie, siłą pracy i oszczędności; gdzie nędza egzystencja jednostek nie wydawała się więc potępiać społeczeństwa. Dla chorych i starców były szpitale czy też fundacje pobożne i wcale nie było potrzeby ogólnego przewrotu społecznego by zabezpieczyć kilku nędzarzy opuszczonych przez nieuwagę. Słowem dla Péguy jako dziecka problem nędzy nie przedstawiał się jako problem społeczny.

Na własnej rodzinie widział Péguy najlepiej do czego zdolna była praca. Opowiada on nam historię swej matki i babki w „Pierre, commencement d'une vie bourgeoise”, fragmencie autobiograficznym, który napisał wkrótce po „Joannie d'Arc”.

„Moja babka strzegła dumnie pamięci tych czasów, gdy samotnie walczyła przeciw nędzy, kiedy przełamywała nędzę, kiedy mimo nędzy trwała; mama lubiła wspominać te wysiłki, które czyniła jej matka, broniąc się tak pracowicie i uparcie przeciw nędzy tak wielkiej, że ugięłaby się pod nią każda inna osoba”.

Péguy przyjął więc pewną moralność indywidualistyczną, której uczyła go matka, a która przedstawiała nędzę jako rodzaj sankcji za błędy jednostek. A kiedy z czasem ta „kara na ludzi” zaczęła go oburzać nie opowiada o radach matki — mimo całego swego szacunku do niej — inaczej, jak tylko z pewną ironią.

„Mama powoli i mądrze dawała mi rady życiowe i uczyła mnie co to jest świat; były dwa rodzaje ludzi: ci, którzy byli do-

brzy i ci, którzy byli źli... Dobrzy robotnicy pracują jak najlepiej, aby zrobić przyjemność pracodawcy i klientom; nie opuszczają nigdy pracy; zarabiają dobre dniówki, aż do stu sous, sześciu franków dziennie; wołają pracować na akord niż na dniówkę, ponieważ wtedy zarabiają więcej wstając wcześniej, kładąc się spać późno i jedząc w trakcie roboty; nie upijają się nigdy, bowiem człowiek pijany jest wstrętny i wydaje ponadto jeszcze pieniądze... Tak to dobrzy robotnicy, zarabiając więcej jak tylko mogą i wydając najmniej jak to tylko możliwe, dorabiają się pewnej nadwyżki, którą umieszczają w kasie oszczędności; dzięki temu gdy są chorzy mogą się leczyć u siebie w domu, nie potrzebując iść do szpitala jak ubodzy; kiedy mają dzieci nie potrzebują miłosierdzia jak ubodzy; kiedy są starzy również miłosierdzie nie jest im potrzebne, kupują ze swoich oszczędności niewielki domek z kawałkiem ogródka i żyją szczęśliwie jak drobni mieszczanie. Przede wszystkim zaś robotnicy nie wdają się w politykę, ponieważ jest to jeszcze gorsze niż upijanie się.

Podczas gdy dobrzy robotnicy są w ten sposób nagrodzeni, źli robotnicy są nieszczęśliwi i kończą źle.

Ogólnie biorąc jest się zawsze nagrodzonym gdy się jest dobrym i jest się ukaranym gdy się jest złym. Dobry Bóg karze nie tylko nieposłuszne dzieci, on karze również ludzi, którzy są źli”.

Powracając do tej ironii stwierdza on jakieś piętnaście lat później w „L'argent”, że te „głupie teorie” były przecież prawdziwe w swoim czasie. „Proboszcz i nauczyciele, a z nimi — a nawet jeszcze przed nimi — nasi rodzice... uczyli nas tej głupiej moralności, w którą — że byliśmy mało oświeceni — wierzyliśmy tak mocno, mimo że fakty jej przeczyły, moralności, której ufaliśmy beznadziejnie w sekrecie naszych serc... moralności głoszącej, że człowiek, który pracuje tak jak tylko może, i który nie ma żadnego nałogu, który nie jest graczem ani pijakiem, że taki człowiek może być zawsze pewny, że nic mu nie zabraknie i — jak mówiła moja matka — będzie miał chleb na swe dni starości... Ta opinia nie była wtedy bynajmniej bezsensowna, ten sąd nie był wcale nieuzasadniony. Wprost przeciwnie — pochodził on z najgłębszej rzeczywistości tamtych czasów”⁷⁾

Ale czuło się już, niby groźbę wojny, nadchodzącą zmianę. Zmiana ta już się w części urzeczywistniła nawet w Orleanie; choć bowiem wieś nie poznała jeszcze nędzarzy, w fabrykach już pracowali ci „najnie- szczęśliwsi z biedaków”.

Tę ewolucję — powstawanie świata nowoczesnego i królestwa pieniądza — Péguy znalazł w formie daleko bardziej zaawansowanej w Paryżu, gdzie wybucha ono w sposób nagły i wstrząsający. „Oni (proboszcze

1) „De Jean Coste”, II, 46.

2) „De Jean Coste”, II, 49. Mamy tu do czynienia z charakterystyczną próbą stylu Karola Peguy, obfitującą w długie i skomplikowane zdania i lubujące się w powtórzeniach (przyp. m. — K. Z.).

3) „De Jean Coste”, II, 47.

4) „De Jean Coste”, II, 59—60.

5) „ ”, II, 46.

6) Karol Péguy pochodził z biednej rodziny chłopskiej. Po śmierci ojca był wychowywany przez matkę, zarabiającą na życie wyplataniem krzesel, oraz babkę analfabatkę (przyp. m. — K. Z.).

7) „L'argent”, III, 416—8.

i nauczyciele) nie mogli przewidzieć, nie mogli sobie nawet wyobrazić tej potworności świata nowoczesnego, który już zawiś nad nimi; nie pojmowali wcale potworności Paryża nowoczesnego, gdzie ludność jest podzielona na dwie klasy tak dokładnie od siebie izolowane, że nigdy dotąd nie widziano tyle pieniędzy toczących się na rozrywki — pieniądze, odma- wianych z tego tytułu pracy“.)

Świat nowoczesny jest światem nędzarzy, ponieważ złoto króluje tutaj wszechmocnie. Péguy powraca często do tej myśli.

„Nadużycia ancien régime'u — mówi Clio — dobrze dały nam się we znaki... W swoich największych nadużyciach jednak ancien régime nie był nigdy królestwem pieniądza, nie był nim przynajmniej jedynie i całkowicie. Świat i ustrój nowoczesny są królestwem pieniądza“.)

Królestwo pieniądza jest ustrójem wojny. Pracować dla pieniądza to nie to samo co pracować dla społeczeństwa — to pracować przeciw niemu. To pragnąć wyciągnąć od niego maksimum pracy i korzyści nie troszcząc się o to, co mu się wzajem należy. Jak w czasach Joanny wszczynano wojny i pustoszo kraj, chcąc zeń wyciągnąć jak największy okup, tak dzisiaj pracuje się przeciw niemu. A żyć z pieniądza odziedziczonego to żyć z wojny, to żyć z dawnego okupu wydartego społeczeństwu. W społeczeństwie harmonijnym — mówi Péguy — zaniknie również pieniądz.

Nasze życie społeczne, opierające się na złocie, na sprzedaży i kupnie pracy, na sprzedaży i kupnie towarów, pozostanie ustrójem wojny i dlate-

go nie znajdzie miejsca w społeczeństwie harmonijnym. Żyjemy dziś w ustroju, który nieustannie głosi rozejm, a który jest w istocie nieustanną wojną.

Ta wojna, jak wszystkie wojny, wprowadza demoralizację narodu, niszczy w nim wszystko, co stanowiło siłę, honor pracy, poszanowanie człowieka, wesołość przy robocie, wszystko co stanowiło w nim tajemnicę człowieczeństwa.

To nie lud jest wcale winien tej korupcji — winna jest burżuazja kapitalistyczna. Bowiem „nigdy nie będzie dość często powtarzać, że całe zło przyszło od burżuazji. Całe wynaturzenie, cała przestępczość... Mówię wyraźnie o wielkiej burżuazji i burżuazji kapitalistycznej... Burżuazja godzi bowiem machinacjami giełdowymi w pracę, pracownik zaś — przez naśladowanie — broni swojej pracy za pomocą zmywu również metodami giełdy... Żyjemy w ustroju machinacji giełdowych i ustawicznego szantażu“...¹⁰⁾

Péguy trzyma się tej idei: korupcja przychodzi z góry. Socjalizm, „nasz socjalizm“, był doktryną „uniwersalnego odrodzenia pracy, poczynając od świata robotniczego“. Źródłem tego uzdrowienia jest dusza ludu. W przeciwieństwie do niej to w burżuazji — na skutek ducha pieniądza — zrodziła się korupcja; burżuazja zaraziła się nią, a potem zatrąła podstępnie lud przez obce mu nauczanie. ¹²⁾ Znalazła w tym sprytnie pośredników: są to politycy, „burżuje intelektualni“, ani socjaliści, ani przedstawiciele ludu, przeniknięci tym samym duchem i

stosujący te same metody co przeciwnicy, których zwalczają.¹²⁾

**

Przeciw tej demoralizacji, przeciw tej nędzy — cóż czynić? Wygłaszać kazania? Mnożyć akty miłosierdzia? Ależ w czasach wojny akty miłosierdzia są bezskuteczne. Powróćmy do alegorycznego fragmentu, gdzie Joanna daje swój chleb dzieciom:

„Dałam im swój chleb; i cóż z tego? Będą głodne jeszcze tego wieczoru; będą głodne jutro...“

Oto odeszły własną drogą — drogą głodnych. Co znaczą nasze wysiłki jednego dnia? Co znaczą nasze miłosierdzie? Nie mogą przecież rozdać przechodniom całego chleba mego ojca. A nawet wtedy — czyż to wystarczy? Wobec takiej masy głodnych... Wszystkie nasze wysiłki są próżne. Wojna, zadająca cierpienia, jest mocniejsza.

Dopóki nie znajdzie się ktoś, kto zabije wojnę, będziemy jak te dzieci, które bawią się opodal na ławkach budując tamy z piasku. Morze kończy zawsze tę zabawę przerywając je“.¹³⁾

Ale upływa kilka miesięcy: „Hauviette: Dobry wieczór, Joanno: a nowina?”

Joanna: Zrobione.
Hauviette: Jak to zrobione?
Joanna: To znaczy, że nadeszła.

Hauviette: Dobra?
Joanna: Dobra: wódz zadecydował, żeby wyruszyć do walki“.¹⁴⁾

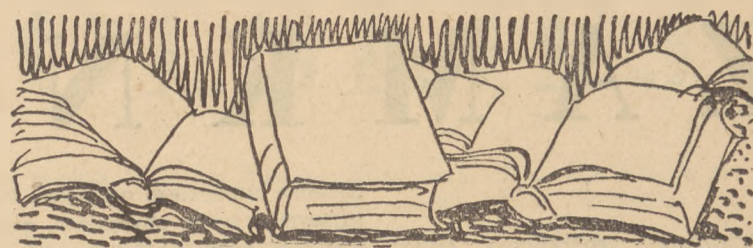
Marcel Péguy

¹²⁾ Péguy ma tu na myśli socjalistów parlamentarnych, pokrywających hałaśliwą frazeologią zwykły oportunizm (przyp. m. — K. Z.).

¹³⁾ „Jeanne d'Arc“, 1898.

¹⁴⁾ tamże.

Z teki recenzenta



Zygmunt Lichniak

Bajka i dla dorosłych

Książka Zofii Rajczykowskiej-Wiśniewskiej*) reprezentuje ten typ utworów literackich, które, chociaż zasadniczo przeznaczone są i pisane dla młodzieży, wzbudzają żywe zainteresowanie i uczucia sympatii także wśród dorosłych czytelników. Zainteresowanie i uczucia sympatii ewokują w czytelniku zarówno ciekawie pomyślana i dowcipnie przeprowadzona fabuła, jak i jej żywy, pełen plastyki kształt artystyczny.

Młody rybak z czasów Stanisława Augusta Poniatowskiego, wyruszywszy przed burzą na połów ryb, padł ofiarą rozszalałych żywiołów i dostał się we władanie królowej Bałtyny. Królowa w swoim podmorskim pałacu stworzyła krainę wiecznej szczęśliwości dla wszystkich ofiar morza. Rozmawiają tam z sobą i kłócą się zawzięcie ryccerze Bolesława Chrobrego z wojami Władysława Łokietka, plotą uroczę bzdury pełne dowcipnych anachronizmów. Związani ze swoją epoką bronią zawzięcie jej nieprzemijalności, popadając w pouczające konflikty uczucia z rozsądkiem, emocjonalnych doznań z żelazną konsekwencją dziejów, ciągle się rozwijających i ciągle zmieniających swój kształt.

Młody Kaszub, który jest jednocześnie umiłowanym Pani na Bałtyku, mimo urozmaiconego życia w podmorskim królestwie tęskni jednak do swojej wioski rodzinnej. Nie wie, że każdy dzień w tym królestwie spędzony to rok w królestwie nadmorskim, że każdy miesiąc w tym świecie nowym to jedno pokolenie przemijające na tym, dawnym, ziemskim świecie. Bałtyna ukazuje mu poprzez cudowny teleskop zmiany zaszłe na ziemi. Kaszub jednak nie rezygnuje z powrotu. Chociaż został królem w podmorskim królestwie woli być zwykłym rybakim w swojej wiosce kaszubskiej. Po wielu taratach i typowo grimmowskich przygodach udaje mu się wreszcie — dzięki poświęceniu Bałtyny — wydostać na świat zwykłych, codziennych spraw. Mięła tam już dawno epoka ostatniego z królów polskich, a nastąpiły czasy nam współczesne, czasy wielkich przemian społecznych i gospodarczych. Po humorystycznych nieporozumieniach młody bohater nawiązuje w sposób bardzo prosty kontakt z nowym duchem nowej epoki, bo rozumie sens rzetelnej pracy, do której natychmiast zabiera się z zapałem. Ma więc ta bajka i swój konkretny, zdrowy morał.

*) Z. Rajczykowska - Wiśniewska: „Pani na Bałtyku“ powieść dla młodzieży, Sp. Wyd. „Fregata“ Sopot 1950, str. 270, ilustracje Lesława Kiernickiego,

Ma jednak — o czym wspominaliśmy na początku — swoje walory artystyczne, które czynią z niej ciekawą, miłą utwór literacki. Spośród walorów artystycznych tej sympatycznej bajki dla młodzieży i dorosłych, na uwagę zasługuje specjalnie język, pomysłowość konstrukcyjna poszczególnych fragmentów i umiejętna indywidualizacja psychologiczna nawet drugoplanowych postaci.

Język „Pani na Bałtyku“, chociaż podobno może budzić pewne zastrzeżenia z punktu widzenia wierności gwarowej i archaizacyjnej, jest językiem pełnym żywych obrazów, ciekawej i nieraz odkrywczej metafory, a przede wszystkim pełen wielkiej prostoty. Autorka bez trudu operuje zdaniem pojedynczym — niezłożonym, często nawet zastępując go trafnymi równoważnikami. Nadaje to całości relacji narratorskiej wielką żywość, jasność i zwięzłość. Zawodzi ona czasami jedynie przy zbyt szerokich opisach (jak np. opis burzy) lub w tych partiach książki, gdzie autorka zbyt wierna jest konwencji baśniowego świata (jak np. opis ucieczki głównego bohatera).

Dalekie jednak od konwencji i banalności są ciekawe chwytne konstrukcyjne autorki. Niektóre zapożyczone są bezpośrednio z 18-wiecznej nawet, jeśli nie starszej tradycji literackiej (jak np. pomieszanie epok w rozmowach przedstawicieli różnych czasów), niektóre przypominają technikę wellsowską (jak np. oglądanie wydarzeń ziemskich przez teleskop podmorski), ale wszystkie opracowane zostały w sposób świeży i w kontekście opisywanych wydarzeń — odkrywczym.

Świeże także i pełne niezaprzeczonej oryginalności są postaci stworzone przez autorkę „Pani na Bałtyku“. Indywidualizacja języka, umiejętność podkreślanie cech specyficznych nawet drugoplanowych sylwetek, jest osiągnięciem wzmacniającym oddziaływanie bajkowej powieści.

Spółdzielnia Wydawnicza „Fregata“ może być z tej edycji zadowolona. Dając do ręki młodym czytelnikom ciekawą i udatnie napisaną książkę, wydawnictwo to zapewniło także kilka godzin miłej lektury... rodzicom. Szkoda tylko, że niepokoją swoją rubasnością i lalkowatą niezdarnością barwne ilustracje, które w intencji wydawców i ilustratora miały zdobić książkę, a w odczuciu czytelnika spełniają... funkcję wręcz odwrotną.

W sumie jednak mankament to nieznaczny. Książka pozostanie na półkach bibliotek młodzieżowych jako trwała, ciekawa i pożyteczna pozycja.

Zygmunt Lichniak

Stanisław Podlewski

„Egzemplarze rozpraszać, tak, aby latały z rąk do rąk...“

(Rozmowa z dr J. Pelcem, dyrektorem Wydawnictwa Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu o nowej edycji dzieł J. Słowackiego).

W ubiegłym roku przeżyliśmy wspaniałe uroczystości jubileuszowe Roku Mickiewicza, Chopina i Słowackiego.

Zostały one upamiętnione podjęciem uchwały wydania wszystkich dzieł trzech wielkich artystów.

Obecnie ukazują się 15-to tomowe Narodowe Wydanie Dzieł Adama Mickiewicza, realizowane przez Spółdzielnię Wydawniczo - Oświatową „Czytelnik“.

Pierwsza seria, w nakładzie 125.000 egzemplarzy została rozchwytna w sprzedaży księgarskiej.

Wychodzą coraz to nowe tomy wszystkich dzieł Fryderyka Chopina, opracowanych pod redakcją Ignacego Paderewskiego. Dotąd ukazały się „Preludia“, „Ballady“, „Impromptu“ i „Etiudy“.

Wspaniała, pierwsza edycja dzieł Fryderyka Chopina będzie się składać z 25 tomów zawierając teksty w językach: polskim, francuskim, rosyjskim i angielskim.

Rok Słowackiego został uczczony zpowiedzią wydania dzieł autora „Kordiana“ i „Króla Ducha“.

Zakład Narodowy im. Ossolińskich ogłosił przed kilku miesiącami sub-

skrypcję na dzieła poety. Całość ma się ukazać w kwietniu br.

Dowiaduję się, że dr Julian Pelc, dyrektor Wydawnictwa Zakładu Narodowego im. Ossolińskich bywa co kilkanaście dni w naszej stolicy i postanawiam przeprowadzić z nim rozmowę na temat edycji dzieł Słowackiego. Udaje mi się dopaść dr Pelca w Polskim Towarzystwie Wydawców Książek. Ale tym razem nie dochodzi do rozmowy. Doktor ma tyle spraw do załatwienia w stolicy, że nie starczy mu czasu. Dopiero w czasie następnego pobytu w stolicy, przeprowadzam rozmowę w lokalu Związku Księgarzy Polskich. Rzucam pierwsze pytanie:

— Jak doszło do wydania dzieł poety?

— Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza rzuciło szlachetną inicjatywę uczczenia 100-nej rocznicy zgonu Juliusza Słowackiego wydaniem Jego dzieł. Inicjatywa znalazła przychylnie przyjęcie i poparcie czynników rządowych, zwłaszcza Premier Józef Cyrankiewicz żywo zainteresował się projektem i stał się orędownikiem wydania dzieł poety. Prezydium Rady Ministrów przyznało pokaźną subwencję, która umożliwiła zrealizowanie tego projektu. Prof. Julian Krzyżanowski z ramienia Tow. Literackiego im.

Adama Mickiewicza zwrócił się do Zakładu Narodowego im. Ossolińskich o opracowanie szaty typograficznej i zajęcie się techniczną stroną tego wydawnictwa.

— Może pan doktor opowie nam o stronie redakcyjnej wydawnictwa?

— Myślę, że najlepiej opowiedział by o tym prof. Julian Krzyżanowski, który jest redaktorem tego wydania dzieł. Napisał on do niego przedmowę. Wydanie będzie popularne, obok głównego tekstu uwzględnia tylko najważniejsze jego warianty.

Redakcja zaprosiła do opracowania poszczególnych tomów historyków literatury, znawców twórczości poety, a więc:

Tom pierwszy obejmujący liryki i inne wiersze poety, opracował Julian Krzyżanowski.

Tom drugi, zawierający poematy: „Szafary“, „Hugo“, „Mnich“, „Jan Bielecki“, „Arab“, „Żmija“, „Lambro“, „Godzina myśli“, „Trzy poematy“, „Anhelli“, „Poema Piasta Dantyszka“ — opracował E. Sawrymowicz.

Tom trzeci zawierający poematy: „Podróż na Wschód“, „Beniowski“, „Rozmowa z matką Makryną Mieczysławska“, „Pan Tadeusz“,

(dokończenie na str. 12-tej)

Zbigniew Czajkowski

Z A M K N I Ę T E O K N O

I.

Przemiany geograficzne Polski, przesunięcie się granic na północno-zachód i szersze oparcie się o wybrzeże Bałtyku, a przede wszystkim przemiany socjalne, które na wybrzeżu wymagają specjalnego podkreślenia i omówienia, nie znalazły jeszcze dotychczas wyrazistego odzwierciedlenia w twórczości marynistycznej prozaików powojennych.

Jeżeli będziemy operować kategoriami, selekcjonującymi literaturę powojenną pod względem dorobku regionalnego, w którym morze i przymorze stanowią osobny, jednolity fragment twórczości — niestety, trzeba będzie powtórzyć jeszcze raz, że dziedzina marynistyki jest mocno zacofana, jeśli w ogóle nie zapoznana przez polskich prozaików.

Najlepszym miernikiem niedorozwoju marynistyki polskiej jest mała ilość nowych prac, opublikowanych po roku 1945, następnie szczupłość względnie jednokierunkowość tematyki marynistycznej, wreszcie last but not least, problematyczność watorów literackich tych pozycji, które uzurpują swoją dotychczasową przynależność do działu marynistycznego.

Ponieważ taka ostra i bezceremonialna już na wstępie rozprawa z dotychczasowym dorobkiem marynistycznym wydałaby się nieistotną i pustą bez właściwego uzasadnienia i podkreślenia tych kryteriów, które tworzyły literackiemu, uzasadniającemu sens marynistyczny, należałoby starać się przeprowadzić pewną próbę analizy zagadnienia, która pozwoliłaby podkreślić istotne przyczyny względnie fakty niedorozwoju prozy polskiej na obecnym i pełnym przysięszości polu marynistycznym. Sądzę, że rozgraniczenie niektórych problemów, wyznaczenie pewnych granic i funkcji literackich, normujących pojęcie „marynistyka” sensu stricto, pozwoliłoby nie tylko na odseparowanie prawdziwych pozycji morskich od tych, które „zalatują” tylko tytułem względnie umiejscowiają się fabułą i bohaterami nad morzem, lecz także na sformułowanie tez marynistycznych, uzasadniających charakter i przynależność danej pozycji. W ostatnim zdaniu uciekleń od przytaczanego poprzednio zwrotu „przynależność regionalna”.

Jakkolwiek I. Fik w swej pracy „Dwadzieścia lat literatury polskiej” umiejscawia marynistykę w ogólnym dział regionalizmu, trudno jest przyjąć podział taki za słuszny. Twórczość marynistyczna niewątpliwie czerpie swe natchnienie z folkloru morza, ale natchnienie to niekoniecznie zamyka się w ramach regionalnych, właściwych pewnemu terytorium, o którym pisze I. Fik, tzn. terytorium Pomorza, lecz przede wszystkim szuka ujścia w realizmie marynistycznym, nie mówiąc już o pewnych pochodnych i wspólnych tłaach z powieścią historyczną lub egzotykiem. Raczej należałoby szukać innego podziału marynistyki, wyróżnić dwutorowość tematyki, która szukała oparcia nie tylko w morzu, jako tła fabuły marynistycznej, ale także w przymorzu, czyli historycznie i geograficznie biorąc w zagadnieniach Pomorza i Kaszub.

O ile trudno jest utożsamiać regionalizm marynistyczny z tymi pozycjami, których treść, problematyka i miejsce akcji wychodzą daleko poza granice powieści regionalnej, o tyle nie można odmówić cech regionalizmu literackiego pozycjom, traktującym o życiu, obyczajach, zagadnieniach ludzi, żyjących nad morzem. Nie obchodzi nas w tym wypadku fakt, czy ludzie ci są Kaszubami, rybakami, czy też stanowią element obcy, często obecnie napływowy i przypadkowy, lecz interesuje nas sam problem. Problem ten niewątpliwie będzie „tchnął” morzem, to tu, to tam, przetkany będzie „marynizmem”, kotwicą i cumą, ale mimo to nie będzie czystym problemem marynistycznym. Ciężyć na nim będzie piętno lądu.

Książki marynistyczne muszą mieć w sobie nerw morza, muszą wyróżniać się oderwaniem od ziemi, od stałego lądu, niezależnością psychologiczną od zagadnień typowo lądowych, muszą wreszcie uwolnić się od balastu myślowego „sznurów lądowych” i przyswoić sobie swoisty sposób myślenia ludzi morza.

Ścisłe rozgraniczenie marynistyki na marynistykę morza i przymorza wydawałoby się trudne, granice, wybrane na podstawie a priori określonych kryteriów często pokrywałyby się z sobą. Dlatego, chcąc uniknąć dwuznaczności pozwolę sobie przytoczyć dwa przykłady pozycji książkowych, które nasuwają się raczej przypadkowo, ale oddają sens powyższego rozdziału. Tak więc „Wiatr od morza” Zeromskiego ma w sobie niewątpliwie urok niedalekiego morza, którego szum słyszymy niemal w słowach wielkiego pisarza, lecz mimo to, pozycja ta nie jest typowo morską. Natomiast powieści marynistyczne Londona lub Conrada wprowadzają nas w inny świat. Odbijamy wraz z nimi od lądu, kołyszemy się na oceanie, myślimy kategoriami tych ludzi, którym jest obojętne, gdzie i kiedy ujrzą ląd. Jedynym naszym oparciem, na którym spoczywają stopy, jest kołyszący się pokład.

II.

Pisać o morzu lub o ludziach morza nie jest rzeczą łatwą. Nie wystarczy sam talent literacki, aby stworzyć dzieło, które miałoby w sobie „ducha morskiego”. Po prostu do opracowania pracy marynistycznej konieczna jest oprócz wczucia się w „morskość” problemu, znajomość wszystkich pochodnych zagadnień, które związane są z morzem, pracą portów, stoczni, aparatu usługowego w portach. Pisząc o „znajomości” mam na myśli umiejętność operowania literackiego i poruszania zagadnień morskich w sposób świadczący o tym, że najprymitywniejsze przynajmniej elementy pracy morskiej zostały przez autora opanowane.

Pisać o morzu w sposób zrozumiały należy do bardzo specyficznej w swym zakresie umiejętności pisarskiej, która powinna łączyć w sobie talent wraz z erudycją morską. Na marynistę spada więc obowiązek poważnego przygotowania tematu, zwłaszcza, że dotychczasowe pozycje marynistyczne, publikowane przez literatów raczej z amatorstwa niż z zamiłowania do marynistyki, wykazują pod względem swej rzeczowości dużo braków.

Czytelnik jest bardzo wrażliwy na „prawdziwość” marynistyki, doszukuje się niemal błędów i potknięć marynisty, świadczących o ignorancji morskiej pisarza. Naturalnie, że małe nawet potknięcie degażuje literata-marynistę w oczach czytelnika, który odnosi się na podstawie

drobnych na pozór szczegółów dość sceptycznie do zupełnie poprawnej literacko pozycji. Sceptycyzm czytelników niewątpliwie jest dużą przeszkodą do przebycia. Zdobyć czytelnika prozą marynistyczną, zmusić go siłą sugestii narracyjnej do przyjęcia i potraktowania pozycji literackiej pozytywnie, możliwe jest tylko w wypadku prawdziwego przygotowania zarówno teoretycznego, jak i praktycznego.

Niestety, dotychczasowe pozycje nie świadczą pochlebnie o pracy nad problematyką morską wśród grona literatów.

Celem udowodnienia fatalnego wpływu niepoważnego przygotowania prozy marynistycznej na czytelnika, pozwolę sobie na małą dygresję, ucieczkę przykładową, nie chcąc aby zarzuły moje były nieuzasadnione.

Jeden z literatów polskich, zamieszkujący nota bene nad morzem i prawdopodobnie uzurpujący sobie z tego tytułu prawo do noszenia jeszcze jednego, dodatkowego tytułu „marynisty”, skomponował nowelkę pt. „Upał”. Nowela ta, na całe nieszczęście, została opublikowana i naturalnie, jako jedna z nielicznych pozycji marynistycznych czytana i omawiana. Niestety, zamiast wzbogacić skromną marynistykę polską nową, ciekawą pozycją, dobiła jeszcze jeden gwóźdź do przymkniętego i tak okna polskiej prozy morskiej.

Przyznam się, że nowelę „Upał” zacząłem czytać z początkowym zainteresowaniem, ale już po kilkunastu zdaniach znużyła mnie swą fabułą. Poza opisem rej, żagli (rzecz działa się na żaglowcu), fal, wreszcie słońca i upału, nic się w niej nie działo. Możliwe, że na tym polegał artyzm utworu, oddziaływający sugestyjnie mocą „upału” nowelę na samego czytelnika, możliwe, że nie poznałem się na jego sile ekspresywnej, dość, że nie doczytałem do końca i odłożyłem nowelę, zniechęcony po raz nie wiem już który, ad acta... Jednak szkoda, że nie doczytałem jej do końca. Doczytał mi ją w parę dni później ex-marynarz, żeglarz, który więcej zrobił mił po wodzie niż na lądzie, który wreszcie przez sentyment do dawnego zawodu wyłapywał wszędzie, gdzie się tylko dało, marynistyczną prozę.

— Czytaj pan, czytaj! — podtykał mi z ironią nowelę pod sam nos.

Przeczytałem i przyznaję się, że rozumiiałem, dlaczego autorowi mało było upału słonecznego, od którego „mdlała na pokładzie załoga”, ale stwarzał na żaglowcu dodatkowy upał od kotłów (?), od węgla, którym czarni palacze podsycałi paleniska (?). Drogą, błędny literacie, marynisto m spe — pomyślałem sobie — czemu chcesz karmić żaglowiec węglem, czemu wprowadzasz zamęt w swej i w swych bliźnich głowach, czemu wreszcie „rozsiewasz” podobną „marynistykę” po świecie?... Osobna nagana należy się też i wydawcy podobnych bzdur, ale chcę stwarzać zbyt szerokiego kręgu oskarżenia...

To nie jest jeden tylko odosobniony przykład ignorancji marynistycznej.

W podręcznikach do rachunków dzieci wyliczają, ile wagonów węgla załaduje się na statek przy założeniu, że jeden wagon węgla waży 20 ton, do statku zaś przywieziono 1500

takich wagonów. Oczywiście dziecko, które w ten sposób ma uczyć się przykładowo i poznawać „problemy” polskiego morza, dochodzi do absurdalnych wyników. Konia z rzędem temu, kto by odszukał we wszystkich portach świata statek o nośności 30.000 ton węgla.

W czasopiśmie „ładowych” (nie mogę odmówić sobie przekąsu w wyodrębnieniu tych pozycji), pojawiają się reportaże z nad morza, o stoczniach, statkach, flocie... Reporterzy sypią cyfry jak z rękawa, po drodze to tu, to tam samemu się sypiąc, nie odróżniając, co to jest BRT, DWT, tramp lub drobnicowiec...

Trudno wymagać od literata wiedzy ściślej, głębokiego wczucia się w zawile czasami arkana handlu morskiego. Są jednak pozycje publicystyczne, traktujące o morzu, które czyta się z prawdziwą satysfakcją, czyli istnieje możliwość rzetelnego przekazywania czytelnikom prawdy morskiej.

Na literacie-maryniście ciąży poważny obowiązek zbliżania społeczeństwa do morza, uprzystępniania obcych jeszcze zagadnień, rozpracowywania świeżych i pełnych uroku „opowieści morskich”, których jest pełno w literaturach innych państw. Ale równocześnie nie wolno maryniście pisać bzdur zwłaszcza, że większość czytelników, ta większość, która mieszka na głębokim zapleczu i morze zna albo z wczasów albo tylko z kina i zdjęć, łatwo może przyswoić sobie podobne nieścisłości. W wypadku stwierdzenia nieprawdziwości opisu czytelnik taki zrazi się zupełnie do marynistyki i będzie ją uważał za parodię, farsę, teatrzyk Zielona Gęś, w którym tylko jest możliwe pokazanie zła rozumiejącej kotary koło krakowskich Sukiennic dymiącego jak z czajnika s/s Sołdek... No tak, ale co wolno Gałczyńskiemu, tego nie wolno literatowi-maryniście...

III.

Jedną więc z najistotniejszych cech prozy marynistycznej jest jej prawdziwość, rzetelne oddanie właściwego charakteru i treści problemu morskiego, przy czym należy podkreślić, że w podobnych wypadkach nie wystarczy zasypanie czytelnika setką nazw, wybranych z morskiego almanacha. Nie wystarczy również odbycie jednego, przypadkowego rejsu statkiem, chociaż by nawet przez sam Atlantyk, aby ex cathedra zabierać głos na tematy marynistyczne.

Z morzem trzeba się żyć, poznać je, doświadczyć, nieraz lyknać gorzkiej fał i nieraz odczuć prawdziwe nlebezpieczeństwo wobec żywiołu...

Takie postawienie problemu wydałoby się jednak trudne do zrealizowania. Po prostu trzeba by szukać marynistów-pisarzy nie wśród literatów, gdyż ci, którzy istotnie poznali smak żywiołu, rachują się na palcach niemal jednej ręki, lecz trzeba by szukać literatów wśród rybaków i marynarzy...

Możliwe, że na tym polu prędzej dojdziemy do porozumienia niż z zawodowymi literatami, którzy kwalifikują się szczerym lub nieszczerym zapalem do spraw morskich, objuczają się balastem prac czysto lądowych i naprawdę nie mają wolnej chwili, aby chociaż na pewien czas

wsadzić nos poza parkam stoczni i zobaczyć naocznie, w jaki sposób wykonuje się poszycie burt polskich węglo-rudowców...

Tymczasem tematów jest wiele, można powiedzieć, że rozległość tematu zarówno wszcz, jeśli chodzi o zakres dziedzin morskich, ja również w głąb, jeśli znów myślimy o pogłębianiu wiedzy morskiej, jest kolosalna. Lecz aby pisać na temat morski, portowy i to pisać z nerwem, właściwym pisarzem, którzy przelewają na papier przeżyte i przemyślane koncepcje, nie wystarczy raz tylko powąchać mumią na nowomalowanym statku, albo pomachać chusteczką na powitanie „Batorego”. Do każdego prawdziwego wyniku dochodzi się drogą pewnej szkoły. Szkołą dla marynisty byłaby w tym wypadku praktyka na stoczni, własnoręczne wbijanie nitów w poszycie blach na statek, wczucie się w rytm pracy stoczniovców, pilotów morskich, szyprów na holownikach. Jakże inaczej wygląda praca rybaka dalekomorskiego, odciętego od lądu i zdanego na wiatr i pomyślenie łowów, praca pochwyconym okiem literata na „gorąco”, we wtórnie wspólnego zajęcia, od obserwatora na lądzie, który jest świadkiem najmniej ważnego odbijania albo powrotu kutra do portu.

Nie pozostaje więc mi nic innego, jak zwrócić się z apelem do literatów-marynistów. Jeśli chcecie pisać prawdę, jeśli chcecie, aby czytelnik odbierał z ich książek konkretny i sugestywny obraz morza i pracy rybaka morskiego, powinniście stać się na pewien czas rybakami, rzucić spencerek i pantofle, włożyć smrodliwą, nieprzemakalną kapotę i rękę uzbroić zamiast płótnem — zwyczajnym, ordynarnym nożem. Pierwsza krew na ostrzu, która zjawi się razem z setkami srebrzystych mokreli, które trzeba będzie wypatroszyć, posolić i zamagazywać na dnie kutra do końca rejsu, będzie chrztem marynistycznym literata.

Możliwe, że za powyższe słowa ściągnę na siebie gromy, że za gorąco zabieram się do sprawy marynistycznej, możliwe, że czujne oko krytyków „marynistycznych” nie puści piądem podobnych oskarżeń. Ale, jeśli chcecie się obronić, jeśli macie chociaż odrobinę racji i potraficie zbić mnie swymi argumentami, to udowodnijcie najpierw czytelnikom swój wkład do prozy polskiej chociażby dziesięcioma pozycjami powojennej prozy marynistycznej. Wątpię jednak, czy doliczymy się ich aż tyle...

IV.

Po tak przydługiej i ostrej krytyce dotychczasowej spuścizny marynistycznej wydawać się może, że nie ma już doprawdy szukać czegoś i analizować wśród „ocalałych” z tego pogromu pozycji. Jeśli mam być konsekwentny, to wbrew nasuwającej się sugestyjnie myśli, że „jednak może jest coś wartościowego”, odpowiem szczerze, że pozycje marynistycznych, zasługujących na uwagę, jest tylko jedna. Mimo to, że „klimat morski” nie służy naszym prozaikom, jest zupełnie nie rozpracowany tematycznie i żadnym porządnym dorobkiem nie może się poszczycić, chciałbym omówić trzy pozycje literackie, jakkolwiek dość od-

MARYNISTYKI POLSKIEJ

legie od siebie zarówno poziomem literackim, jak też i ujęciem, jednak zasługujące na pewne wyróżnienie z innych, raczej nieliterackich względów.

Są to: Jerzego Pertka „Wielkie dni małej floty“ — Wyd. Zachodnie, Poznań, 1946,

Jana Papugi „Szczyry morskie“, Wyd. Książka, 1946 i

Jerzego Lipińskiego „Spotkamy was o świcie“, Spółdz. Wyd. Żeglarski, 1947. (Gdzie są pozycje 1948 i 1949 roku? — przyp. mój).

Wszystkie trzy powyższe książki mają jedną wspólną cechę: mianowicie tematykę. Poruszają bowiem w formie opisowej, niemal dziennikarskiej (Pertek) losy floty polskiej, albo też marynarzy polskich podczas walki z najeżdżącą (Lipiński, Papuga). Wąski ten wycinek tematowy niewątpliwie nie dodaje uroku marynistyce polskiej, lecz tym bardziej podkreśla ograniczoną i ubóstwo naszej inwencji tematowej. Morze rozumiane w ten sposób przez polskiego marynistę zamyka się dotychczas w granicach sześciu lat okupacji, w fabule przegrod wojennych, wreszcie opiera się na tle sławnych bitew, odbytych konwojów i bohaterskiej obrony Westerplatte.

Gdzie jest powieść psychologiczna, gdzie jest realizm dzisiejszych faktów, świadomość „morskości“ naszych granic, gdzie wreszcie są zagadnienia morza i znaczenia Bałtyku w problemach gospodarki narodowej?...

V.

Pertek jest publicystą, chociażby nawet na podstawie „Wielkich dni małej floty“. Książka ta — to zbiór opowiadań i opisów losów okrętów wojennych Rzeczypospolitej. Pertek usiłuje w sposób najbardziej obiektywny, w oparciu o osobiste relacje uczestników kampanii wojennej, rozkazy, raporty, urywki ze wspomnień i pamiętników, oddać przebieg działań wojennych na morzu, w których brały udział jednostki polskie.

Język Pertka jest żywy, prosty, bezpretensjonalny, nie sili się na patos, ucieka przed kolorystyką i mocniejszym, literacko wytłumaczalnym podkreśleniem pewnych fragmentów. Raczej przez cały czas zachowuje umiar i prowadzi narrację na równym, zawsze ciekawym, dzięki interesującym opisom, poziomie. Należałoby podkreślić, że ucieczka Pertka od literackiego potraktowania opisów wypadków i wydarzeń do kronikarskiego, a mimo to żywego i plastycznego opisu, jest słuszną i celową. Znamrost bowiem literackich nowel otrzymaliśmy ciekawy i obiektywny przyczynek do kronik minionej wojny. W ogóle pracę Pertka można potraktować jako stojącą na pograniczu opracowania literackiego i dokumentarnego. Literackim utworem nie jest przez swą suchą, sztywną czasem rzeczowość, brak fabuły literackiej. Jest raczej „spóźnionym“ i nieprzeżytym reportażem. Trudno też nazwać ją mimo cytowania wiarygodnych źródeł i powoływania się na autentyczne dokumenty pracą historyczną, kroniką sensu stricto, z uwagi na pobieżne i niezbyt dokładne opracowanie wszystkich materiałów.

Pertek wnosi jednak do polskiej marynistyki ciekawy przyczynek twórczy. Książka jego stanowi odkrycie wspaniałej tematyki literackiej, jest bodźcem, podkładem, do prawdziwie literackiego ujęcia nie-

zwykle ciekawych losów marynarki wojennej polskiej, której przeżycia, walki, przygody morskie, bitwy, zasługują na miano eposu rycerskiego.

Nie wszystkie opisy są jednakowo opracowane w szczegółach. Widać z tego, że Pertek nie mógł zebrać do wszystkich fragmentów swej książki dostatecznych materiałów. Wada ta jest drobną i raczej należałoby podkreślić, że autorowi udało się zebrać aż tak dużo ciekawego materiału. Niektóre opisy są doprawdy odkryciem zupełnie nowych, nieznanych dla ogółu rzeczy. Fragmenty te należałoby tym bardziej uwypuklić i podkreślić, gdyż stanowią w wielu wypadkach charakterystyczne świadectwo „fantazji“ polskiej, nieszczęsnego naszego sarmatyzmu...

Pierwszy bój na Wybrzeżu, zdaniem Pertka, rozpoczął się na Westerplatte. Załoga Westerplatte według wyznaczonego zadania przez dowództwo polskie, miała się trzymać w swoich pozycjach tylko przez dwanaście godzin. Tymczasem Westerplatte poddało się dopiero siódmego września na skutek kompletnego wyczerpania załogi i niemożliwości niesienia pomocy rannym.

Zupełnie nieznaną jest bitwa morską, którą stoczyły jednostki marynarki polskiej ORP Gryf i ORP Wicher przeciw dwóm niemieckim krążownikom w dniu 2 września 1939 r. Pertek pisze o niej:

„W starciu oba okręty niemieckie zostały szybko uszkodzone, niemiecki okręt flagowy „Leberecht Maas“ wlokąc za sobą długą kłębę dymu wycofał się pośpiesznie w kierunku wschodnim i został później odholowany do Piławy, natomiast celnie trafiony jego towarzysz, po dość długiej agonii, zatonął. Porażka niemiecka była zupełna“. (Str. 53).

Jakże wspaniałym tematem powieściowym, a nawet filmowym, jest Odyseja łodzi podwodnej „Orzeł“. Niestety, Pertek nie posiadał dużo materiałów i uciekł się do opisu niezwykłego rejsu „Orla“ w sposób dość pobieżny.

Materiałów podobnych Pertek odkrywa bardzo dużo. Oprócz powszechnie znanych wyczynów jednostek polskich z „Piorunem“ na czele, należałoby podkreślić udział w walkach polskich ścigaczy, odkrycie przez Polaków tajemnicy niemieckiej „żywej torpedy“, romantyczną ucieczkę maleńkiego stateczku ORP „Batory“ przez Bałtyk...

Książka Pertka nie wnosi do dorobku marynistyki polskiej realnych wartości literackich. Zresztą autor sam nie ubiegał się o to, aby opracować poruszane przez siebie problemy z punktu widzenia literackiego. Jest przede wszystkim reporterem minionej wojny morskiej i autorem świadectwa chwały polskiej marynarki. Ale również, i tu leży najistotniejszy punkt omawianego zagadnienia, jest odkrywcą tematyki marynistyczno-wojennej w sensie zapoznanych fragmentów historii jednostek polskich, które mogą stanowić dla literata wspaniałą temę do szerszego opracowania. Książkę Pertka czyta się jednym tchem. Ciekaw jestem, jak czytałoby się książkę-powieść, osnutą na podobnej tematyce, ale rozwiniętą literacko, fabularnie, w oparciu o problematykę nie tylko wojny, lecz i innych zagadnień, np. sarmatyzmu

i brawurze polskiej... Temat czeka na literatów...

VI.

Książka Jana Papugi „Szczyry morskie“ stanowi jedyny, jaśniejszy motyw na tle ponurej rzeczywistości marynistycznej. Wyróżnia się nie tylko pod względem stylu i ujęcia literackiego, w którym pewne partie świadczą o nieoszlifowanym jeszcze, ale dobrze zapowiadającym się marynistę, lecz wyróżnia się właśnie pod względem tematyki. Jakkolwiek całość, ujęta w formie krótkich nowel-opowiadań, pozostaje pod wpływem wojny i okupacji niemieckiej, jednak ambitny pisarz stara się wyzwolić z więzów czasu i biegu wypadków historyczno-wojennych, wybiega z kręgu niebezpiecznego patosu patriotycznego i szuka nowego ujęcia. Przykładem takiej szczęśliwej ucieczki autora jest egzotyczne, gorące od słońca afrykańskie opowiadanie pt. „Safari“. Safari jest to podróż-wędrówka łądem afrykańskim marynarza, któremu uciekł z portu statek. Osobliwa pogoń za statkiem wzdłuż wybrzeża afrykańskiego stanowi oryginalne, niecodzienne tło, na którym rozgrywa się równie niecodzienna historia miłości Murzynki do Polaka. Należy podkreślić, że Papuga okazał w tym opowiadaniu najwięcej umiaru literackiego. Uciekł od patosu, od zbytnej analizy psychologicznej, lecz prosto i szczerze ujął kompozycyjnie ciekawe opowiadanie. Czytając „Safari“ ma się wrażenie, że jest to urywek z dziennika przygód marynarskich, wyrwany fragment z życia, może nawet z życia samego Papugi. Okazuje się, że Papuga jest byłym marynarzem, samoukiem literackim, który dzięki wrodzonej zdolności pisarskiej potrafił skomponować szereg ujmujących nowel marynistycznych. Ponieważ w nowelach Papugi tkwi głęboki realizm, wydaje się, że są one fragmentami opisów autobiograficznych i własnych przygód wólczeckiego żeglarskiego samego autora. Przystanie my się dziwić, jeżeli dowiemy się, że życie i losy Jana Papugi, to jedna, ogromna mozaika przygód trampa, który zwiedził kawał świata i w niejednym porcie pozostawił za sobą tęsknotę. Dalsze wytłumaczenie genezy nowel Papugi wydaje się już zbyteczne.

Całość „Szczyrów morskich“ obejmuje dwanaście opowiadań o dość różnorodnym balaście wartościowym. Zupełnie szczerze można powiedzieć, że poprawnych i dobrze napisanych opowiadań jest tylko parę, pozostałe są słabsze, sztuczne, bez specjalnego wyrazu literackiego i problematyki, a nawet miejscami nudne. We wszystkich opowiadaniach pojawia się stale ten sam motyw — wólczecki. Wólczecka ma swe uzasadnienie w zburzonym wojną domu, zagubionym szczęściu, zaprzepaszczonej młodości, która miała inne plany i nadzieje, niż bezcelową czasem tułaczkę po morzu i portach... Pierwszą pozycję stanowi opowiadanie pt. „Zburzony dom“. Jakkolwiek pogoń za swym losem, za przygodą i wciąż zmieniającymi się wrażeniami stanowią niewątpliwie urok wólczecki, jednak nawet u trampa przychodzi czas, podczas którego zjawia się myśl chociaż jeden raz oparcia się w ciągłej wędrówce o coś stałego, o swój dom... Wólczecka z czasem nuży, wólczecka rozstraja nerwy i powoduje chorobę „samotności“, nostalgii...

Papuga wyraża to bardzo dyskretnie:

„W najbliższej knajpie przy kuflu piwa zapomną (marynarze — dop. mój) o mrozie i psich wachtach, kiedy jakaś dziewczyna zdziwiona niebywałą zuchwałością zapyta:

— Skądżeś to?

Zawsze dostanie tylko jedną odpowiedź:

— Z morza...

Znaczy to wszystko i nic...“ („Konwoj“ str. 183).

Niewątpliwie najlepszym opowiadaniem, od którego autor nazwał cały zbiór nowel, jest „Sea rats — Szczyry morskie“. Szczyry morskie — to marynarze. To, co nie dotyczy morza, co zbliża się do lądu, jest w pogardzie dla Szczyrów morskich. Ich życie stanowi przeciwność świadomości naszego życia, które posiada w sobie celowość i wartość. Życie żeglarskie zależne jest przede wszystkim od morza. Tęsknota za lądem zjawia się dopiero po latach, gdy ciągle świadomość bezwartości ludzkiego życia wobec żywiołu stanie się ciężarem i stałym prześladowcą. Rzeczywiście, jest charakterystycznym dla wielu ex-żeglarskich, którzy pożegnali się z morzem, że siłą przyzwyczajenia do morza i wędrówki po oceanach przeciwstawiają lęk przed przemożnym wpływem morza na ich psychikę...

Pozostałe opowiadania są o wiele słabsze. Są sztuczne, przesycone zupełnie zbędnym patosem a nawet nierzeczywistością (nowela „Pole“, w której „bohaterem“ jest trup pływającego po morzach Polaka), rażą kompozycją i daleko odbiegają od takiego opowiadania, jak np. „Safari“.

Papuga jest laureatem literackiej nagrody Szczecina, właśnie za swych „Szczyrów morskich“.

Nagroda literacka, przyznana temu wólczeckiemu - literatowi - samoukowi, miała zdopinguować nie tylko jego samego, ale ogół literatów do pracy nad prozą marynistyczną. Niestety, cóż mówić o marynistach, skoro sam laureat dotychczas milczy?...

VII.

Ostatnia z omawianych przeze mnie pozycji, książka Jerzego Lipińskiego „Spotkamy was o świcie“ jest bezwarunkowo najslabszą i najmniej wartościową. Dlaczego o niej wspominać? — otóż cechują ją dwie rzeczy:

primo — jest napisana przez żeglarską, nie literata, a więc spełnia mój poprzednio wyrażony postulat chwycenia za pióro zamiast przez zawodowych literatów, przez ludzi „morza“,

secundo — podaje w formie powieściowej te fragmenty losów polskiej marynarki wojennej, które poruszyłem podczas omawiania książki Jerzego Pertka.

Niewątpliwie sam fakt, że książka została napisana przez nie-literata, zasługuje na podkreślenie i uznanie. Równocześnie jednak powstaje sugestywna myśl, czy rzeczywiście łatwiej jest stać się marynistą będąc literatem i mając za sobą rutynę literacką, czy też będąc specem od spraw morskich a do pióra czuć zamiłowanie li tylko amatorskie. Problem ten pozostawiam na razie otwarty.

Lipiński zna doskonale morze. Pływał, doświadczał i przeżywał na

morzu wiele chwil. Czy jednak samo doświadczenie wystarcza do skomponowania interesującej książki — trudno jest odpowiedzieć. W każdym razie książkę Lipińskiego należy uważać jako nieudaną. Nieudaną nawet nie dlatego, że razi kompozycją, naiwną fabułą, nieswoim a raczej „zapożyczonym“ stylem autora, lecz przede wszystkim razi brakiem wyrażenia własnej koncepcji „morza“, wyrażeniem zrozumienia zagadnień morskich. Nas, lądowców, interesuje przede wszystkim problem podejścia żeglarskiego do prawdy morskiej, do swoistego pojmowania pewnych zagadnień, które na lądzie są nieznane. Interesuje nas żeglarski nie dla swego stroju i swego zawodu, ale dla charakterystycznego stosunku do życia, stosunku, który kształtuje psychikę przez ciągłą obecność żywiołu, groźbę niebezpieczeństwa, niepewności...

Wystarczy być w wojsku przez rok, aby zmienić wiele ze swych słabostek, wyrobić w sobie albo zabć dużo uzdolnień. Podobnie jest z żeglarzami, proces jednak wartościowania i sublimowania charakteru „morskiego“ przebiega znacznie szybciej i intensywniej.

Niestety, Lipiński, który sam niewątpliwie doświadczał podobnych wrażeń, nie wnosi ich swą książką. Jego bohaterowie, to jesteśmy właściwie my sami, ubrani jedynie w granatowy mundur ze złotym paskiem. Między procesem myślowym bohaterów Lipińskiego a nami nie ma żadnej różnicy. Wniosek stąd jest jeden, że autor albo nie umiał podkreślić praw i wyłączności morskiej, albo też nie potrafił zrozumieć psychiki ludzi morza... Wierzę, że raczej myśl pierwsza jest istotna i wypływa jedynie na skutek debiutu pisarskiego autora.

VIII.

Resumując powyższą krytykę twórczości marynistycznej należałoby dodać, że poruszane przeze mnie mankamenty prozy polskiej nie są jedynymi. Istnieje w dalszym ciągu cały szereg przyczyn, ograniczających rozwój polskiej marynistyki, przyczyn, które trudno jest ująć w jednym essay'u. Jednak należałoby podkreślić, że morze jako problem, morze jako treść, morze wreszcie jako fabuła stanowią kopalnię tematową dla literatów. Brak publikacji na tematy marynistyczne świadczy ujemnie o zainteresowaniu aktualnymi problemami, zwłaszcza, że mgdy jeszcze w historii Polski nie było tylu sprzyjających elementów w twórczości marynistycznej. Niestety, dotychczasowe doświadczenia na polu marynistyki są wręcz odwrotnie proporcjonalne do naszych możliwości. Duch pewnej przekory gości wśród polskich literatów. Gdy nie było morza, czuliśmy za nim tęsknotę... Mamy morze — nie umiemy odkryć jego piękna...

Możliwe, że duch Smętka tuła się jeszcze wzdłuż Wybrzeża i nie pozwala otworzyć szeroko okna na świat, niestety, przymkniętego okna marynistyki polskiej...

Zbigniew Czajkowski

Czytanie

„SŁOWO POWSZECHNE“

NIE ma w niej nic babiego — myślał, śledząc okrągły zarys ramion pod wełną swetra. Usta nie tknięte szminką, były blado-różowe, napęczniałe ciepłem krwi. Czując widocznie na sobie jego wzrok, rzuciła mu prze lotne, pytające spojrzenie. Wyszła na dolną wargę i uniosła lekko prawą brew, przybierając wypróbowaną minę „interesującego star szego pana”. Jej oczy szare i chłodne przypomniły mu kogoś niepokojąco. Kogoś, z kim wiązało się niemiłe wspomnienie jakiejś porażki. Nie musiał zbyt długo szukać. Tak właśnie patrzył ów chłopak w schronisku, poszukujący towarzysza do liny. Zupełnie tak samo taksował w surowej zadumie siwiznę na jego skroniach. Zmieszał się. Tymczasem dziewczyna wyciągnęła powolnym ruchem ramię ku górze i z półki nad głową zdjęła numer „Przyjaciółki”. Przewróciła parę szleszczących stron i z wielką wagą zabrała się do studiowania najnowszych modeli mód jesiennych.

W rogu przy drzwiach spał grubo książek. Nieporadne, tłuste paluszki spłótł na wyduętym brzuchu, w miejscu gdzie sutannę przecinał rząd obciążonych czarnym materiałem guzików. Guziki te były już mocno wytarte tak samo jak i błyszczący obrąbek dziurek. W ogóle cały strój duchownego bardzo był już zużyty i zaniedbany. Nie była to w żadnym wypadku „szata zdobiąca człowieka”. Ot — byle jaki futerał, tymczasowo opakowanie trzymający jako tako w ryzach nieforemne i miękkie kształty. Pod naciągniętą, pofałdowaną wokół wypukłości czernią, ciało akcentowało się odrażająco, byłgotowało i trzęsło się bezwolnie w rytm rozkołysanej jazdy. Twarz widać było tylko fragmentarycznie, w karykaturalnym skrócie. Górna jej część znikała pod połą opadającego z wieszaka płaszczka. Na obserwatora wylewały się z poza sztywnego kołnierzyka dwie grube fałdy podbródka i ziały pustką śmierci szeroko otwarte usta.

Nie lubił księży. Irytowała go ogromnie ich poufałość z rzeczami ostatecznymi, ich wiara w skuteczność słów i gestów, ich pełna ostentacyjnego namaszczenia dobroć, będąca — jak przypuszczał — żalosnym bastar dem w ewangelicznej miłości. Zda wało mu się, że ludzie ci, służący zawodowo Dobru i Prawdzie, dalsi byli tym sprawom niż ogół śmiertelników, którym rutyna, formuła i względy zarobkowe nie zamulają serc chłodnym osadem nawyku.

— Wygarnełam jej wszystko. Przy ludziach, a jakże! Ty mnie znasz. Wiesz jaką potrafie być, kiedy mnie diabli biorą. Nie krepowałam się nic, jak Boga kocham. Jak prawda, to prawda. Lu! Myślałam, że ją szlag trafi...

Książek zachrypał przeciągle, a dziewczyna uśmiechnęła się wąsko do „najelegantszych płaszczy sezonu”.

Szum oceanu trwał gdzieś w przestworzach swą nieprzeniknioną, groźną harmonią, ale tylko on jeden łowił uchem jego dalekie echa. Przymknął oczy i zmarszczył czoło w skupieniu. Czuł swoją twarz — widział doskonale jak wygląda. Surowy myśliciel ponad płytkimi wodami codzienności. Ale czy naprawdę słyszał? I co słyszał; co to było? Dźwięk własnych słów, szelest własnych myśli? Czy tej prawdziwej harmonii można było słuchać z takim poczuciem bezpieczeństwa i własnej ważności?

Pociąg zwolnił. Z kłopotem przeskakiwał zwrotnice, szarpał na boki, dygotał wysiłkiem tłumionego pędu.

Książek obudził się nagle. — Czy to już Jordanów? — zapytał spłoszony.

— Nie. Dopiero Chabówka — odparła dziewczyna.

Westchnął z ulgą, rozejrzał się po przedziale zdziwionym wzrokiem i zakreślił na piersi wielki znak krzyża. Potem wydobył z kieszeni sutanny brewiarz, rozłożył go w miejscu zaznaczonym czerwoną zakładką, pochylił głowę.

Wbrew temu co można było przypuszczać, nie był łyso. Miał mocne, czarne włosy, a gęste brwi załamywały się ostro na skroniach, jak skrzydła rybitwy. Pod nimi błyszcząły duże, brązowe oczy o spojrzeniu pełnym inteligencji i siły. Na pewno nie był głupi. A oto czytał swój tekst z takim przejęciem z jakim dziecko odcyfrowuje pierwszą w życiu książkę. Czy po tylu latach codziennej lektury mógł jeszcze odnajdywać sens pod wzorem drobnych czcionek i barwnych akapitów, pod hieratyczną melodią recytacji? Bezgłośnie poruszał wargami, popadał w długie chwile zadumy, w czasie których przy mykał powieki i zdawał się kontemplować sprawy przejmujące do głębi. Moc tego skupienia przeobrażała go zupełnie. Jego ciało nie wydawało się już groteskowe. Było nieważne.

Pociąg zatrzymał się wśród szumu wypuszczanej pary, wśród twardych wstrząsów uderzających o siebie buforów. Korytarzami biegli ludzie w panicznym pośpiechu, tupali głośno, krzyżeli, chrobotali pakunkami o ściany.

Książek zamknął brewiarz i modlił się cicho.

Wchodzili nowi podróżni. Niezdecydowanie szurali butami przy drzwiach przedziałów, zaglądali do środka, nieufnymi spojrzeniami obrzucali siedzących na ławkach pasażerów.

— Pan będzie łaskaw zamknąć — rzekła jedna z przyjaciółek.

Właśnie w tej chwili wtoczył się do przedziału bezkształtny, parciały tobół. Z poza niego wychylała się głowa właściciela. Zgnieciony kapeluszonek zsunięty na ciemię, szare kosmyki włosów przyklepione do mokrego z wysiłku czoła. Niegolone policzki również błyszcząły od potu. Powietrze nasiąkło kwasem ubóstwa i wysiłku oraz dławiącym dymem machorki, sączącym się z mosiężnej fajeczki, którą przybył trzymał w rzadkich, złotych zębach.

— Panie! — syknęła spod okna ufarbowana na rudo kobieta. — Tak się pan pcha, nawet pan nie zapyta czy jest wolne miejsce.

— Dy widzę, że jest plac — odparł chłop, opuszczając tobół na ziemię.

Książek przestał poruszać ustami. Z zakłopotaną, wyczekującą miną obserwował scenę. Dziewczyna nie interesowała się tym drobnym zajściem. Odłożyła „Przyjaciółkę” i niezbyt czystym grzebieniem rozczinała strony „Przekroju”.

Rozgniewał się nagle. — Są jeszcze trzy miejsca wolne — rzekł — niech pan siada.

Właściciel tobołu spojrzął na niego z roztargnieniem. Ktoś nawoływał go z korytarza. Uniosł wóz z powrotem i wyszedł bez słowa.

— Przecież nie ma tłoku — odezwała się paniusia, która zajęła jego miejsce. Nie ma powodu się gniewać. Ten człowiek wytrudził nas wszystkich swoją machorką.

Jan Józef Szczepański

RÓŻDŹ

(dalszy)

— Chodzi o pewne minimum życzliwości — odparł chłodno.

— Jest pan doprawdy wielkoduszny — rzekła ruda, zapalając nowego papierosa. — Cudzym kosztem oczywiście. Bo jeśli panu zaduch nie szkodzi, to jeszcze nie dowód, że inni są tak samo odporni. — Obie przyglądały mu się teraz z agresywną niechęcią. Przestał być gentlemanem w ich oczach.

Uśmiechnął się. To był celny strzał, ta życzliwość. Rykoszetem trafił i w księdza. Widział kątem oka jak grubas w sutannie spogląda nań z nieśmiałą aprobatą. Rozłożył znów książkę, pragnąc zademonstrować, że uważa temat za wyczerpany. Nie czytał jednak. Wiedział dobrze, że sprawa nie jest jeszcze załatwiona. Chcąc dokuczyć tym wydom poruszył kwestię bardzo istotną. Czuł, że to ma jakiś związek z wszystkim, co nurtowało go od początku podróży. Ktoś opowiadał mu kiedyś, że reguła klasztorów, buddyjskich przepisuje ćwiczenie przychylności dla wszystkich istot. Mnich siada samotnie w swej celi i przez godzinę lub dwie myśli przyjaźnie o bogach, ludziach, zwierzętach i roślinach, wysyła ze swego serca falę ciepła, obejmującą cały świat. Wydawało mu się to dziwne, trochę śmieszne nawet. Cóż to za sztuka pobłażać światu, oddzieliwszy się od niego grubym murem? Ale w tej chwili widział rzecz w innym, nowym świetle. Spostrzegł nagle, że brakuje mu treningu, teoretycznego przygotowania, że myśląc o gwiazdach i pyszniąc się swoim wyczuciem astronomicznych dali nie uświadomił sobie nigdy faktu, iż ten stratosferyczny punkt widzenia dotyczy także stosunków między ludźmi. W momentach uniesienia, uniesienia w sensie niemal dosłownym, spoglądał na nich ze swoich zawrotnych wyżyn i uśmiechał się z pogardliwą ironią. Czuł się usprawiedliwiony i rozgryziony z samej racji perspektywy swego spojrzenia. Ale tu był błąd. Bo wśród małych, mrówczych istot nie dostrzegał siebie. Mógł nie wiem jak wspinać się na palce, mógł choćby na księżycu szukać sobie stanowiska obserwacyjnego. To nie zmieniało postaci rzeczy.

Dopóki jego własne oko czuwało u soczewki teleskopu, obraz oglądany nie był dalszy niż na długość ramienia. Oto na czym polegało złudzenie: zdobywanie wyżyn, tych właśnie, które literacka fantazja ubierała w błyski gwiazd i wypełniała oceanicznym szumem, było czystą utopią. Nie ozna czało nic konkretnego. „Spojrzenie z góry” uzyskiwało się przez oszukańczy trick, przez stwarzanie sztucznej odległości — odwrócenie lornetki do góry nogami. Jedyną prawdziwą zdobyczą mogło być przyswojenie sobie świadomości, że jest się z góry widzianym. Tylko tak dochodziło się do jakiegoś przecucia istotnej perspektywy i istotnych proporcji. I tylko wtedy praktyczne konsekwencje usprawiedliwiały doświadczenie, wiązały je z rozumiałym, logicznym ciągiem z żywym ciałem rzeczywistości. Myślał o tym nieudolnie i zawile, ale wiedział dobrze, o co chodzi. To była kwestia solidarności — solidarności istot widzianych z góry. A czyż owa nieunikniona solidar-

ność może opierać się na pogardzie? Buddyjscy mnisi nie byli wcale takimi śmiesznymi fantastami. Przeciwnie, podchodzili do sprawy bardzo rzeczowo. Pogarda, obojętność, nienawiść (istniała przecież nawet święta nienawiść, głoszona przez różnych proroków jako szczytna misja pewnych narodów, wyznań i grup społecznych) miały swoje naukowo opracowane dyscypliny, teorie i praktyki. Uczucia, stanowiące ich przeciwieństwo traktowano zawsze po dyletancku, pozostawiano natchnieniu i kaprysowi jednostek. I oto krzewiły się one dziko, nieporządnie, zakwitały na różnych podejrzanych glebach jako ozdoba słabości, jako trujące kwiaty fałszu. Tylko nieliczni umieli uprawiać je skutecznie i fachowo. Potrzeba uczenia się życzliwości, „suchej zaprawy” w tej dziedzinie, wydała mu się teraz zupełnie oczywista. I związek tej sprawy z pisaniem też był oczywisty. Tak oczywisty, że nie chciał mu się nawet precyzować owej oczywistości. Zresztą parzyła go już niecierpliwość podniecająca i wesoła, jakby wpadł na pomysł świetnej zabawy. Spróbować. Zrobić doświadczenie w tym maleńkim laboratorium jakim był przedział trzeciej klasy pociągu Zakopane — Warszawa.

Przez chwilę wahał się jaką obrać metodę. Synteza czy analiza? Zabrać się do wszystkich od razu, czy też opracować na początek każdego podróżnego z osobna? Ten drugi sposób robił wrażenie konkretniejszego. Nie miał jednak odwagi zaczynać od dwóch panów pod oknem. Najłatwiejsza była dziewczyna. Tak mu się zdawało. Nad tą w ogóle nie warto się męczyć. Szukała teraz czegoś w torebce potrząsając niecierpliwie jasnymi włosami, opadającymi jej na skronie. Znalazła wreszcie. Z małej, bakelkowej papierośnicy wyjęła papierosa i trzymając go w palcach spojrzęła na niego pytająco. Spłoszony zaczął przetrząsać kieszenie, chociaż wiedział, że nie ma zapalek. Ruda strzepnęła zakrzywionym palcem popiół i podała dziewczynie ognia. Wymieniły uśmiechy, pochyliły ku sobie głowy, zbratane nagle tym gestem palaczy, który między kobietami nabierał szorującego wdzięku poufałości. Po chwili rozmawiały już z owym charakterystycznym ożywieniem, cechującym przelotne, do niczego nie obowiązujące znajomości.

— Ja nie mogę chodzić po górach — uskarżała się ruda. — Lekarz kategorycznie mi zabronił. Serce. Palić też nie powinnam, ani pić kawy. Ale to jest silniejsza ode mnie. Wolę umrzeć, niż wyrzec się filiżanki kawy lub papierosa. Powiedziałam mu wprost: panie doktorze...

Zdecydował się na księdza. Ten przestał poruszać ustami. Ręce wciąż jeszcze trzymał splecione na podółku, ale zmęczona, smutna twarz odwrócił ku szybce drzwi i obojętny wzrok utkwiał w oknie korytarza, przez które i tak niczego nie można było dojrzeć.

Nie był to obiekt specjalnie wdzięczny, tym bardziej, że w tej chwili nie budził już nawet niechęci, która mogłaby skomplikować i urozmaicić ćwiczenie. Zmusił swoją wewnętrzną twarz go — jakaś nieokreślona po-

wierzchność duszy, posiadająca zsynchronizowaną z uczuciami mimiką) do pełnego serdeczności uśmiechu.

— Bracie... Tfu! Jak głupio! Poczuję jak cały zamienia się w obojętny grymas, staje się podobny do jakiejś „osoby z towarzystwa”, krygującej się słodyczkowato na proszonej herbatce. Rzeczywiście nie znał teorii.

Lokomotywa gwizdnęła rozdzierającą i po wagonach przeszedł bolesny dreszcz budzącego się ruchu.

Ciało księdza znów zaczęło się trząść pod sutanną — brzydkie, ludzkie ciało, wykarmione najmnie krzepiącymi sokami ziemi. Wyobraził sobie, że dusza musi być podobnie zapasiona, wzdęta frazesami niedzielnych kazań, rozsmakowana w ekliwej naiwności parafiankiej enoty. — Biedaku — pomyślał, — na pewno jak ognia piekielnego boisz się przeciagów i słów nieoszlifowanych, raniących uszy i wargi. Na pewno nie brak ci dobrej woli, ale jesteś za miękki i za ciężki na mróz i wichry wyżyn...

Żle! Politowanie nie miało nic wspólnego z życzliwością. W dodatku zmyślał. Cóż mógł naprawdę wiedzieć o tym człowieku? Książek odwrócił na chwilę ku niemu głowę i tak samo jak przedtem szerokie czoło, surowe brwi i skupione spojrzenie unieważniały wszystkie wnioski wysnute z reszty postaci. O czym myślał? O co się modlił? Jak to właściwie jest z modlitwą? Niedawno przysięgał w duchu paniusi pod oknem, że manicure uniemożliwia jej modlitwę, a teraz szepty i zdumy duchownego raziły go, wydawały się podejrzanym. Zarzucał mu naiwność, a dlaczego prawda nie miałaby być naiwna? Otrząsał się na ckliwość spraw tworzących atmosferę jego zawodu, ale znajomość tego smaku opierał na wstydlivym liźnięciu ich mdłej, lukrowatej otoczki. Jeśli już koniecznie potrzebował jakiegoś tła dla swej gratisowej życzliwości, to przede wszystkim należało usunąć kulisy wszelkich ogólnikowych uprzedzeń.

Książek był stanowczo za trudny na początek. Dał za wygraną i zwrócił się ku dziewczynie. Tu przynajmniej nie będzie światopoglądowych oporów. Ładne kobiety tłumaczyły się same sobą bez reszty. Jaka miła! Czemuż tak gada z tą... no, mniejsza o to. Robi to z wdziękiem. Taka młoda i bez pretensji. Miła, bardzo miła. Patrząc na nią czuł w sercu prawdziwe ciepło. Z upodobaniem oceńał przychylnie jej opalone, jasnym puszkciem porośnięte nogi, długie i silne, założone po męsku jedna na drugą. Z wesołą tkliwością obserwował widoczne spod rąbka spódnicy kolano, podrapane i spierzchnięte, jak kolano bardzo młodego chłopca. Wszystko w niej było rozśmieszające i pełne powabu, nawet owa ostrość spojrzenia, wynikająca z czupurnego poczucia własnej siły. Kiedy mówiła, jej pełna szyja wydymała się trochę i drgała lekko jak gardło gruchającego gołębia. Ładna dziewczyna. Przypominała mu trochę Irkę z czasów, kiedy razem chodzili po Tatrach Tamta w zupełnie podobny sposób opierała łokieć na udzie i wysuwała dolną wargę, wydmuchując dym. Tamtą też lubił za jej włosy, za jej

chłodu, palane po brzegi niebieskim, pomarańczowym i zielonym nektarem. Ogarnął go taki zachwyt, że nie zauważył nawet kiedy ojciec pożegnał się z brodaczem i dopiero basowe, obojętne „chodź“ obudziło go z olśnienia. — Tatusiu, chce mi się pić — rzekł płacząc — chce mi się strasznie pić.

Skreślił na planty i z trudem torowali sobie drogę przez tłum nie dzielnie wystrojonych mieszczan, snujących się godnie w dusznym mroku alei. — Tatusiu, chce mi się pić — uskarżał się, szarpając nieśmiało rękaw ojcowskiej marynarki. — Słyszałam już — odparł ojciec. Po chwili weszli na oświetlony lampionami taras kamiarni, odgradzony od alei drewnianym płotkiem. Zasiadli przy okrągłym stoliku pod parasolem w żółte i czerwone pasy. Ojciec postawił laskę między kolanami, oparł dłoń na jej gałce z kości słoniowej i władczym ruchem pod bródką przywołał kelnera. Dla siebie zamówił piwo, dla niego szklanekę lemoniady. Lemoniada wyglądała bardzo zachęcająco. Była czerwona, tańczyły w niej małe banieczki, które wydobywały się na powierzchnię opryskiwały zabawnie koniuszek nosa chłodną wilgocią. Ale po paru łykach jej słodycz zaczynała mdlić w gardle. To nie było to czego pragnął. Odsunął szklanekę krzywiąc usta. Ojciec przyglądał mu się uważnie, uniósłszy nieco gęste brwi. — Nie smakuje ci? — zapytał. Pokręcił przecząco głową. — Masz, spróbuj, — podsunął mu swój zroszony kufel. Nigdy dotychczas nie pozwalano mu pić piwa. To musiało być coś bardzo dobrego. Chciwie zamoczył wargi w białej pianie. Ostra gorycz zaparła mu na chwilę dech w piersi. W połączeniu ze słodyczą lemoniady tworzyła przykry, mydlany smak. — Fu! Jakie to wstrętne! — zawołał. Ojciec cofnął kufel. W jego oczach pojawił się błysk irytacji. — Nigdy nie można ci dogodzić — rzekł. — Chciałeś pić, a teraz nic ci nie smakuje. Sam nie wiesz czego chcesz. — Wtedy wezbrała w nim owa niebezpieczna przekora, zaostrzona jeszcze oburzeniem. Wiedział przecież czego chce. Ogarnął go bezsilny gniew. Wyprostowany tors ojca, sztywny kołnierzyk o okrągłych rogach, wygolona, nieruchoma twarz wydały mu się jakimś niezniszczalnym murem niezrozumienia i obojętności.

— Wiem czego chcę! — zawołał ze złością. — Chcę napoju.

— To właśnie jest napój.

— Nie, nieprawda! To nie jest napój — upierał się rozszalony nie-
możnością wytłumaczenia o co chodzi.

Nagle umilkł. Spojrzenie ojca było tak dziwnie przenikliwe, tak niepokojąco skupione, że ciarki przeszły mu po skórze. Przez chwilę był zupełnie pewien, iż oczy te przezierają go na wylot i widzą w nim coś, czego on sam nie jest w stanie zrozumieć. Drżąc z strachu dłońmi podniósł do ust szklanekę wzgardzonej lemoniady. Wtedy ku jego ostatecznej konsternacji ojciec uśmiechnął się chłodno pod ciemnym błyszczącym wąsem i grożąc mu kościstym palcem rzekł: — uważaj, chłopcze, uważaj...

Od tego bodaj momentu uświadomił sobie osobliwą rolę, jaką pragnienie odgrywało w jego życiu. Może zresztą patrząc wstecz upraszcza sprawę z zamiłowania do jednolitych kompozycji. Może ten dziecinny precedens był oderwanym i mało znaczącym przypadkiem. Teraz trudno już było rozstrzygnąć. W każdym razie cielesne i duchowe doznania z tej dziedziny do dziś dnia niepokoiły

go wspólnie, imitując się nawzajem, ludząc nadziejami zaspokojenia, o których nigdy nie mógł powiedzieć z całą pewnością w jakim stopniu są symbolem.

Kiedy był jeszcze zupełnie młody, zdarzało mu się widzieć we śnie alegorię tej dziwnej obsesji. Najczęściej była to ametystowa czara o grubych, ostro ciętych ściankach, zroszonych mgłą lodowatej wilgoci. Wśród tego ziarnistego, drobnego nalotu powolnie krople zlizywały lśniąca ścieżki. Samo naczynie dosyć było niezgrabne, ciężkawe w proporcji, jak romański kielich. A w środku chłód. — W środku ostateczne, absolutne ukojenie pragnienia. — Napój. Ten właśnie, jedyny prawdziwy. Przezroczystość złotego blasku, płynny cień, który zmyje wszelkie znużenie, wszelki niesmak własnej niedoskonałości. Czuł między wargami twardą, śliską krawędź. Krawędź szeroką i obłą, ziębiącą usta, podzwaniającą szkliście o zęby. Przechylał ostrożnie głowę, zamykał oczy w nagłym przerażeniu, wiedząc już naprzód, wiedząc nieomylnie, a jednak ludząc się całą mocą tęsknoty, do jakiej człowiek nie jest zdolny na jawie. Budził się czczy, pełen zawstyżenia i gniewu. Czara była pusta.

Mimo zawodu złączonego nierozdzielnie z owym marzeniem, był w nim jakiś urok. Rzucało ono na świat, na najbardziej potoczne czynności życia rodzaj blasku — bardzo delikatnego, nieostrzegalnego prawie, ale wystarczającego, by rzeczy widoczne nabrały barwy, by kształty ich zaczęły niepokoić i wabić rytmem ukrytej poezji. Słowa traściły wów czas swą nudną pospolitość, ludzie stawali się istotami pełnymi ukrytego bogactwa, wszystko nasiąkało, niby wiosennym sokiem, tręścią niezmiernie godną zrozumienia i nie tylko zrozumienia: przyswojenia sobie w jakiś jeszcze bardziej bezpośredni, bardziej całkowity sposób.

To, że wszystkie próby nasycecia się ową tręcią kończyły się niepowodzeniem wynikało — jak podejrzewał — z faktu, iż dotykany świat nie tłumaczył się sam sobą, a wszystkie ludzkie sposoby posiadania go nieuchronnie prowa-
dzić musiały do odkrycia złudności takiego posiadania. Do wniosków tych doszedł jednak stosunkowo niedawno. Był czas, gdy pragnienie jego miało taką moc iż samo w sobie wydawało się nie małym spełnieniem. Darzyło jakimś bolesnym szczęściem, sprowadzało stan ofiarnej gotowości, który kryjąc w sobie zarodki niezwykłych osiągnięć, sam przybierał pozory najwyższego osiągnięcia. Cała ta sprawa była ogromnie nieuchwytna. Może gdyby potrafił usystematyzować swoje doświadczenia — wyprowadziłby z nich jakąś konkretną naukę. Ale przede wszystkim trzeba było umieć sobie przypomnieć. Bo smak owej tęsknoty zmieniał się nieustannie i nie wystarczała tu ustalona słowami świadomość.

Ziewnął z samej głębi swej o-
cieężałości. Czuł jak nabrzmiały bąbel oddechu mozolnie tortuje sobie drogę poprzez muliste pokłady nagromadzonego w piersi lenistwa. Głowa opustoszała mu nagle z myśli. Pozostało tylko zdumienie nad osobliwością tej podróży, która od samego początku pełna była sideł i kusideł do podejmowania tyłu dziwacznych trudów.

Dwaj zażywni sąsiedzi naprzeciwko, wciąż jeszcze mówili o samochodach.

— Pan pamięta tego „Albiona“ trzytonówkę, którego mieliśmy w garażu w zeszłym roku?

— Pewnie, że pamiętam. Trup był. Wykantowali was.

— Trup, nie trup. Gaźnik u niego nie był oryginalny. Teraz by go pan nie poznał.

— Wymieniście gaźnik?

— Panie kochany, cośmy z nim mieli! Cośmy się nakombinowali. Trudno było skapować o co chodzi. Pusty szedł. Próbowaliśmy i na dużych i na małych obrotach — idzie. Ale pod obciążeniem anirusz. Dławi się. Sam kontrolowałem przewody benzynowe. W porządku. Świece nie zarzucone, Czort wie co mu jest.

— Instalacja.

— Rzeczą prosta! Palec w dekle był przebity i iskra szła na masę. Daliśmy mu większą dyszę z gaźnika „solex“ i boschowski palec z „Oppo-Blitza“. Teraz pali o trzy litry na sto więcej, ale za to ciągnie jak złoto. Chodzi z czterotonową przyczepką.

— No widzi pan. Tak, tak — motor trzeba znać.

Nie rozumiał nic z tego. Jeszcze jedna dziedzina ignorancji. Ilekroć było rzeczy, o których mógłby z ręką na sercu powiedzieć, że przeniknął je i opanował? Nie mógł sobie przypomnieć ani jednej. We wszystkim czego się uczył lub czym się interesował był dyletantem. W pisaniu też. Mimo, że uświadomił już sobie jego cel i że przeczuwał gdzie leży źródło owej konieczności, którą określić by można mianem „powołania“, widział w mechanizmie swej pracy jakiś błąd bardzo zasadniczy, coś co sprawiło, że motor „nie ciągnął“, hałasował na miejscu powiększając tylko ogólny warkot literackiego garażu.

Znow zamknął oczy i wtulił się w swój kąć, powierzając ciało szybkiej kadencji wstrząsów i kojącejmu rytymowi bocznych chybotań.

Nie ulegało wątpliwości, że właśnie owo nigdy nie zaspokojone pragnienie stanowiło istotę dyspozycji twórczej. W nim kryło się niejasne zapewnienie, że warto, że nawet trzeba się trudzić. Ale pióro mogło tu być zupełnie przypadkowym narzędziem. Może nawet nie było narzędziem właściwym? Wiedział z doświadczenia, że ta jakaś tęsknota, która od tyłu lat nadawała perspektywę jego życiu, rzuca wyzwanie całemu jego jestestwu. Ostatnio wprowadził te sprawy do mózgu, ale pamiętał przecież, że kiedyś przeżywał je całym sobą, jak drzewo przeżywać musi podmuch wiosennego wiatru. Tak właśnie było owego ranka, gdy zbudził się w opuszczonym szałasie na polanie pod Wysłoką. Był to jego pierwszy tatrzański biwak. Towarzysze spali jeszcze, skuleni pod kocami na posłaniach z jedliny i kosówki. Z mroku przesyconego wonią owczego nawozu i butwiejących bełek wyszedł na świat zanurzony w krystalicznej jasności i krystalicznym chłodziu. Bujne trawy uginają się pod ciężarem niezwykłej obfitej rosy, a w ostrych załamach grani Młynarza leżał złotoróżowy blask niewidocznego jeszcze słońca. Dwa czy trzy palemka lśniącej mgły stały nieruchomo u skalistych turniczek, niczym przycumowane tu, napowietrzne łodzie. Potok, przezroczysty ponad wszelką możliwość, wypełniał łoskotem ciszę, nie mącąc jej, lecz czyniąc ją żywą i radosną. Pachniało ozonem i taką świeżością, jakby w tej chwili dopiero powstał świat. Stanął bezradny wobec szczęścia przekraczającego prawie ludzką odporność. Czuł, że trzeba coś z tym zrobić, albo zrobić coś z sobą, aby to nie przepadło. Zrozumiał, że skoro jest w świecie takie dobro — trzeba je jakoś włączyć w swoje życie, zasłużyć na nie, napić się

nim do syta. Jak? Nie wiedział. Nie myślał o pisaniu. Miał wtedy siedemnaście lat i mógł jeszcze liczyć na wiele innych olśnień, które zastaną go lepiej przygotowanym. Uparcie chodził po górach, przekonany, że tu, gdzie najsilniej przenikał go ów prąd — gdzie wreszcie jakiś sposób. Próbował i innych oszołomień. Ale ani alkohol ani miłość nie przynosiły zaspokojenia. Wiedział już zresztą, że nie wystarczy brać, że trzeba dawać coś w zamian i to dawać najlepsze.

Płynęły lata i tęsknota stawała się coraz mniej ostra, coraz łatwiej było ją oszukać. Ostatnie dni spędzone w Tatrach przekonały go niemal, że dawne pragnienie pozostało jedynie formułą, usprawiedliwiającą jego pisarską postawę. Ale czy była to tylko kwestia lat? Czy on sam czegoś nie popsuł?

Jeszcze nie tak dawno, przed samą wojną, miewał wrażenie, że to źródło nadal bije. Jak to było? Pamiętał taki jeden wieczór, też w Tatrach. Wracali ze wspinaczki z Irką i z Piotrem. Z tyłu, za nimi, góry pełne były czarnego, zimnego szumu. Opadał on w dół warstwami, jak ogromna, zstępująca gama, którą granit wydycha swą przerażającą cierpliwość. U stóp piarzystego, stromego żlebu, którym schodzili, leżała połyskująca ka kropla nocnego nieba — staw w Kaczej dolinie. Ciążyły mu haki u pasa i zwój liny, niewygodnie ugniatający ramię. Wargi miał spieczone, a usta pełne suchej goryczy znużenia. Stąpił czujnie, cały sprężony napięciem owe-
go nie dającego się wyrazić oczekiwania. Oto zbliżała się chwila tajemniczego pragnienia, oto rozdził się w nim dreszcze tego jedynego zachwyty.

Kiedy znaleźli się nad stawem, przykleknął na szorstkim grzbiecie wielkiego głazu i zagarnął w menażkę roztańczoną, łamiącą się gwiazdę. „Roztańczoną, łamiącą się gwiazdę“ — tak napisał w noweli, którą drukował w dwa tygodnie potem w jednym z literackich tygodników. Te słowa narzuciły mu się od razu, kiedy z radością ale i z uczuciem rozczarowania pił drobnymi łykami zimną wodę, nie różniącą się tak bardzo od każdej innej wody. Nie było w niej gwiazd — oczywiście — tylko ulga dla wyschłego przeliku. Ale miał słowa i cieszył się nimi, jak miłośnik złota cieszy się papierowymi banknotami.

Czy to nie tu zaczynała się ry-
sa, ten jakiś defekt, z którego coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę? Nagle olśniła go pewność, że tak jest. Nauczył się zdobywać świat na niby, magią pustych zaklęć, usypiających jego własne poczucie rzeczywistości.

Rozejrzył się po przedziale, jakby obawiał się, że wszyscy towarzysze podróży dokonali wraz z nim tego zasmucającego odkrycia. Jeden z samochodźiarzy spał, drugi wyciągał z podniszczonej teki jakieś formularze i przeglądał je z miną stroskaną. W kłapie marynarki miał znaczek związku byłych obozów koncentracyjnych. Zauważył to dopiero teraz i zdumiał się. Nigdy nie można było przewidzieć jaką podszewkę ma rzekoma proza codzienności.

Staruszka w zakrzytym kapeluszu trzymała przed sobą jabłko, w końcach palców, jak nagrobny posąg jakiejś monarchii. Srebrnym nożykiem, którego trzonek zdobiły skomplikowane zawijasy monogramu odkrawała małe plasterki i ostrożnie wkładała je w usta. Żołnierz wyszedł na korytarz. W opuszczonym kącie wyobraził sobie tłustą i ascetyczną zarazem twarz księdza. Tak bardzo drażniły go szeptane przez-

grubasa modlitwy. Teraz myślał o tym z zakłopotaniem. Owe słowa nie mogły być bardziej puste niż wszystkie subtelne aluzje, którymi on sam kokietował niezrozumiałą prawdę i łatwowiernych czytelników.

Coś polecało jego policzek Wzdrygnął się i odsunął. Siedząca obok kobieta poderwała ciężką bezwładnie głowę, potrząsnęła nią, strzepując w popłochu sen, spojrzała na niego z załknionym uśmiechem. — Przepraszam — rzekła. Błada dziewczynka spała koło niej z nogami podkulonymi na ławce, z czołem wspartym o kolana matki.

Teraz rozumiał skąd brał się ów niepokojący osad zażenowania, ukryty na dnie każdej myśli, o księżce, która wyrobiła mu opinię nieprzeciętnego pisarza. „Furor astralis“ miał być świadomym przyjęciem wyzwania, próbą zrealizowania czeku, który świat wystawił mu in blanco. W żywotach trawionych gorączką tajemnicy astrologów, alchemików i szarlatanów chciał znaleźć i ukazać sens swego własnego pragnienia. Pisząc wyobrażał sobie, że gdy po stawi ostatnią kropkę, wstanie od stołu wypłukany i czysty, jak człowiek, który się napił, jak dzielnik, który wypłacił się co do grosza. Lecz kiedy wreszcie odłożył pióro, czuł tylko znużenie. Znużenie i wstyd — jakby kogoś oszukał. Z niedowierzaniem czytał potem recenzje. Wychwalano jego wrażliwość, poetyckość wizji, głębię refleksji. Jakiś egzaltowany krytyk nie zawahał się napisać: „Z tych stronnic wieje ku nam wiatr nieskończoności“. W kawiarniach ludzie chętnie przysiadali się do jego stolika, poczta zaczęła przynosić listy od wielu nieznanym osobom, od maniaków i przy-
czynkarzy, pragnących służyć „ciekawym materiałem do dalszych prac“, od sentymentalnych pensjonarek, które też „doznawały takich dziwnych tęsknot“ ale sądziły, że „nikt ich nie zrozumie“. Powoli zaczął dochodzić do przekonania, że jego zawód był tylko reakcją wyczerpanego twórczym wysiłkiem organizmu. Czekał jeszcze na opinię Aleksego. Bał się jej, lecz do niej jednej przywiązywał prawdziwą wagę. Aleksy zwlekał irytująco z przeczytaniem książki. Robił w tym czasie swoją pracę doktorską, całymi dniami przesiadywał w laboratorium. Tam wreszcie doszło do rozmowy, która chociaż zewnętrznie nie zmieniła ich stosunków, w istocie jednak przypiecztowała los obumierającej od dawna przyjaźni.

— No, przeczytałeś? — zapytał.

Aleksy podniósł z nad mikroskopu zmęczone oczy. — Przeczytałem — rzekł z niewyraźnym uśmiechem. A potem zaraz tonem człowieka przypartego do muru: — czy chcesz żebym był zupełnie szczery? — i nie czekając na jego zachętę: — to jest bardzo zrecznie zrobione, bardzo efektywnie, chwilami czarująco, ale w gruncie rzeczy to jest łechtanie, nic więcej. Łechtanie leniwych, intelektualnych snobów w piętę. Te wszystkie gwiedźne otchłanie, te bezmiarowe, te tajemnicze, o których nie potrafisz powiedzieć nic, chociaż robisz minę mędrca. Dlaczego nie odważysz się użyć słowa Bóg, albo słowa materia, albo jakiegokolwiek terminu, który w doświadczeniu ludzkim zapisał się jakąś konkretną treścią? O co chodzi? Czy któryś z twoich czytelników będzie dzięki temu mądrzejszy lub lepszy? A ty sam... co zyskałeś? Co zdobyłeś, poza jeszcze większą wprawą w szlifowaniu zdań i walkowaniu uczuć?

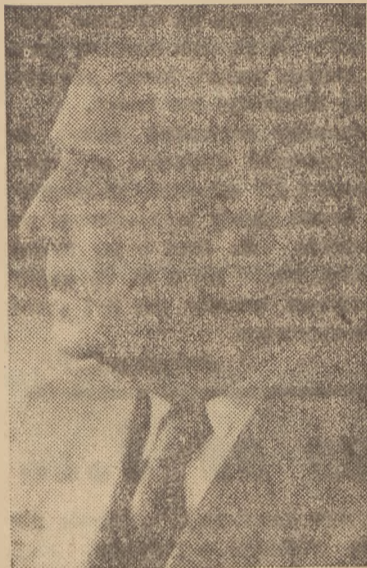
(dokończenie w następnym numerze).

TYDZIEŃ KULTURALNY

Teatr

Jubileusz Adwentowicza

Podkpiwano sobie już niejednokrotnie (często słusznie) ze specyficznej, pompatycznej atmosfery, jaka otacza uroczystości jubileuszowe, kiedy to starszemu panu, zazwyczaj opowiada się cuda o nim samym, jakim to on był rycerzem bez skazy. Boy, kiedyś poświęcił nawet tej sprawie dłuższą dysertację. Już



wie na 1 maja obowiązkowo wtykał czerwony goździk w butonierkę i szedł zawsze w pochodzie tuż za sztandarem.

„W robotniczym pochodzie tuż przy sztandarze potężnie stąpa Adwentowicz. Na żadnego rzeźmieszka nie patrzyła austriacka policja tak pożądlivym i łakomym wzrokiem, jak na tego burzyciela świata” — wspomina Kornel Makuszyński.

I w tej głęboko społecznej postawie nie było nic ze sztuczności, nic z modnego silenia się na oryginalność lewicowości, była natomiast szczerść przekonań, dojrzałość czło-wieka zdecydowanego na uporczywą walkę, aż do ostatecznego zwycięstwa. Tę samą postawę zachował Adwentowicz w czasie okupacji.

„W noc sylwestrową 1941 r. — pisze Leon Schiller — kiedy wypadki wojenne — dla krótkowzrocznych polityków tragiczne, a dla tych, co po wyzwoleniu od razu stanęli po stronie Postępu — poczęły budzić nadzieję — w tę noc sylwestrową o północy w niezle zaszpiclowanym lokalu „Znachora” Karol Adwentowicz „głosem ogromnym” zawołał:

Niech żyje Polska! i natychmiast z wszystkich piersi buchnęła kolen-da staropolska, co w dniach niewoli za hymn narodowy nieraz słuszyła: „Podnieś rękę, Boże Dziecię, błogosław Ojczyznę miłą”.

Tę samą postawę zachowuje Adwentowicz i dziś. Dlatego słowa mówców, którzy rozszerzali święto Adwentowicza na święto całego Teatru Polskiego, na święto całej kultury polskiej, nie były zwykłą jubileuszową przesadą — były prawdą chlubną dla Jubilata, szczerze wzruszającą dla uczestników uroczystości.

*

Adwentowicz wybrał sobie na spektakl jubileuszu „Niemców” Kruczkowskiego. Ujrzeliśmy więc tę sztukę w innej niż warszawska edycja. Reżyseria Ireny Grywińskiej wydaje się być słuszniejszą i logiczniejszą, niż ta, którą prezentował nam Teatr Współczesny. Różnica polegała na tym, że Grywińska poszła drogą trudniejszą: zrezygnowała ze stosowania efektownych kontra-

stów, dała spektakl bardziej stonowany, spokojniejszy, ale właśnie dzięki temu prawdziwszy. Kapitalnym przykładem mogą tu służyć dwie sceny: Pierwsza, to incydent między Willym i Ruth przy telefonie. U Axera scena ta zaprzeczała dobremu wychowaniu dzieci. Sonnebrucha, wychowaniu oczywiście w sensie „savoir vivre’u”. Eichlerówna rozwiązała scenę równie dramatycznie, równie przejmująco, równie przekonująco, bez stosowania takiej drastyczności. Podobne zjawisko obserwowaliśmy w postawieniu roli matki, która w ujęciu Dra pińskiej (znakomita skąd inąd aktorka) musiałaby prawdziwemu Willemu wydać się wkrótce zbyt prostą. Bielska pasowała znacznie lepiej do „wybrednego smaku” syna Sonnebrucha.

Pastelowy charakter interpretacji wymagał oczywiście znacznie lepszej obsady. Koncepcji tej nie podołało wielu łódzkich wykonawców. Zawiódł Jacewicz jako Willy, zawiódł Słucki (Hoppe). Nie wszystkie akcenty swej trudnej roli należy-cie wydobyla Klimczakówna (Lies-

sel), wręcz słaby był Poloński w roli Schultza. Kapitalnie za to postawiła rolę Ruth Irena Eichlerówna. Trzeci akt był majstersztykiem. Co za wspaniała swoboda, co za fenomenalna wprost zręczność w trafnym żonglowaniu nastrojem zimnej obojętności w chwilach pełnych tragiczmu, co za szczerść w pożegnaniu z ojcem, jaka pasja w prostym a do głębi przejmującym rzuceniu potępienia na Liesel. Po raz pierwszy po wojnie tyle pochwał dla tej znakomitej aktorki, na pewno nie po raz ostatni.

Jubilat Adwentowicz zbierał wiele braw nie tylko okazyjnych. Jego Sonnebruch był przekonujący i trafny. Do należytego postawienia tej postaci pomógł również Kruczkowski, który dokonał drobnych, a dla sztuki istotnych poprawek. Zmieniła się o wiele stopni sens całej sztuki, na przykład, przez prostą wzmiankę w epilogu, że Peters żyje. Przyjemną niespodzianką było także ujęcie Andrzejewskiej w roli pasującej do jej talentu, w krótkim, ale dramatycznym obrazie w Café „Fanchette”.

Dobrze pomyślane dekoracje łódzkie nie zawsze pasowały do warunków sceny warszawskiej. (tb).

po wojnie K. Koźniewski darł z oburzenia szaty na sobie z tego powodu, że komuś tam właśnie przy podobnej, nobliwej okazji wypomniał również i błędy. De iubilatis nil nisi bene...

Może stąd powstać podejrzenie, iż na wszystkich jubileuszach jesteśmy tylko w połowie szczerzy. Warto by istotnie nad tą sprawą pomyśleć, gdzie i co trzeba uzdrowić, by podnieść prestiż tych uroczystości, by rozmawiać na nich tak, jak się rozmawia codziennie, bez sztuczności, bez zbytniej emfazy — ale to sprawa całkiem inna. Jeżeli zachowamy od tych wątpliwości, to tylko dlatego, by stwierdzić, że nie dotyczą one w żadnej mierze jubileuszu Karola Adwentowicza, jubileuszu, w którym powiedziano raczej za mało, niż za dużo dobrych ciepłych, uznaniem przepojonych słów.

Wydaje się, iż uroczystość w Teatrze Polskim wydobyla i główny położyła nacisk na tej wartości pół-wiekowego dorobku artysty, która istotnie zasługiwała na specjalne podkreślenie.

Uczonym teatrologom pozostawia się ocenę poszczególnych kreacji Jubilata — na plan pierwszy wznoszącej uroczystości wysunęło się człowieka. Łatwo tu o popełnienie błędów. Imponująca cyfra 400 kreacji mogła zasugerować każdego. Tylko krok dzieli nas od zdań, które raz jeszcze przypominałyby o tym, że Adwentowicz był jedynym w Polsce bezbłędnym interpretatorem postaci Ibsena i Strindberga. Bylibyśmy wówczas ugrzęźli znowu w słusznych, ale nie najważniejszych zachwytach nad tym, jak to „miło było patrzeć, jak nasz jubileat grał szaleńców” (Makuszyński). A przecież nie w tym leży główna treść 55-letniej pracy scenicznej Adwentowicza. Aktorów z bujną karierą artystyczną mamy dziś w Polsce jeszcze wielu. Adwentowicz jest tylko jeden. Tylko jeden w pokazanej liczbie naszych aktorów jest taki, który w równie bezkompromisowy, w równie uparty i konsekwentny sposób łączył swą pracę artystyczną z misją społeczną zawodu, który w każdym dniu z tych lat 55 był równocześnie działaczem społecznym.

Adwentowicz był aktorem wyjątkowym, takim, który we Lwo-

Film

Burza nad Azją

(Połomek Dżingis Chana)

Film niemy, wyprodukowany w 1928 r., udźwiękowiony w 1949 r. przez wytwórnię „Mosfilm”. Scenariusz: O. Brik, Dialogi: L. Sławin i W. Gonczukow. Reżyser: W. Pudowkin. Zdjęcia: A. Gołownia. Muzyka: M. Kriukow.

„Pancernik Potiomkin”, „Upadek Petersburga” i „Burza nad Azją” były tymi filmami, które ćwierć wieku temu nie tylko zdecydowały o sławie powstającej kinematografii radzieckiej, ale także uutorowały drogę rozwoju kinematografii w ogóle. Wystarczy przejrzeć czasopisma polskie i zagraniczne z owego okresu kiedy na ekrany wchodził film Pudowkina, aby pojąć jak wielkiej miary wydarzeniem, jaką rewelacją była „Burza nad Azją”.

Znaczenie wielkich filmów niemych radzieckich określił trafnie krytyk amerykański pisząc, że były one: „jedną z największych obiektywnych lekcji jaką kiedykolwiek mieli twórcy filmu”.

Określenie i sprecyzowanie roli filmu w rozwoju kinematografii nie określa na pewno jego obiektywnej wartości artystycznej, wiemy, że dzieło sztuki może, mając wielką siłę ekspresji w swoim „momencie historycznym” ulegać dezaktualizacji, i wiemy, że najlepszą próbą wartości jest próba czasu.

Wznowienie „Burzy nad Azją” po 20 przeszło latach staje się znowu wielką lekcją dla twórców filmu. Okazało się bowiem, że mimo to, iż elementy nowatorstwa technicznego, nowatorstwa zastosowanych środków wyrażania straciły swoją nowość, film zachował całą swoją potęgę wzruszenia, że przemawia równie silnie jak 20 lat temu.

Zwykło się uważać, że sława filmu jest krótkotrwała, że szybki rozwój techniczny determinuje szczególnie szybko dezaktualizację, że po kilku latach nawet dobry film staje się w najlepszym wypadku

jedynie dokumentem. Przykład „Burzy nad Azją” udowadnia, że owa nietrwałość nie ma charakteru reguły, że film może mieć taką wartość, która doskonale zniesie próbę czasu.

Słusznie zwraca się uwagę na aktualność treści polityczno-społecznej, zawartej w „Burzy”. Owa trafność perspektywy historycznej celność w ujawnianiu konfliktów epoki jest niezbędnym i ważnym czynnikiem decydującym o wartości filmu, niemniej jednak nie wyjaśnia dlaczego film wzrusza, dlaczego jest tak wielkim przeżyciem estetycznym. Wydaje się, że największą siłą Pudowkina artysty, jest umiejętność ujawniania procesów historycznych, poprzez pokazanie przemian psychicznych człowieka. Prawda i potęga uczuciowa przeżyć bohatera „Burzy nad Azją”, trafność dynamicznego ujęcia zmian wewnętrznych, pewność w pokazywaniu jedynym ważnych i głębokich procesów psychicznych, charakteryzują talent Pudowkina. Pudowkin pokazał jedną i na pewno nie jedyną z dróg jakimi można wyrażać i interpretować najrozleglejsze problemy nie gubiąc człowieka.

Wiemy, że cenzura przed wojną w Polsce i na zachodzie dokonała wielu zmian w filmie Pudowkina chcąc w ten sposób osłabić rewolucyjność treści „Burzy nad Azją”. Nie doceniła jednak tego, że w filmie tego typu zmiany w epizodach, w realiach historycznych, w fabule nawet, nie mogą zniszczyć wymowy uczuciowej, którą mają przeżycia bohatera. We Francji pokazano ten film zmieniając Anglików na żołnierzy carskiej Rosji. Naturalnie ta naiwna przeróbka nie zdołała osłabić ani zmienić ideologicznej ekspresji dzieła Pudowkina, nie zmieniając istoty pokazanego, nim konfliktu. Można sfalszować dokument zmieniając fakty, one bowiem decydują o jego wymowie, si-

łą jednak dzieła sztuki jest to, że odwołuje się do przeżyć, uczuć człowieka i przez nie interpretuje wydarzenia.

20 lat temu „Burza nad Azją” była wielką rewelacją techniczną, naturalnie usiłowano sprowadzić całą wartość tego filmu do nowatorstwa formalnego. Zdobycze techniczne teoretyczne Pudowkina podchwyciła cała kinematografia zachodnia. Dzisiaj użyte w „Burzy” środki ekspresji filmowej nie są już rewelacją techniczną i tym trafniej możemy ocenić artystyczną wartość i umiar formy i struktury tego filmu. Odnosi się wrażenie, że film jest integralną całością. Po tych 20 latach, które przyniosły wiele technicznych zmian nie spostrzegamy prawie żadnych naiwności, usterek i dysproporcji.

Krytycy podkreślali w istocie mistrzowską budowę fabuły, dzisiaj uznając te ważne cechy szczególnie należy zwrócić uwagę na uderzającą nie tylko na tle filmu niemego dokumentarną prawdziwość w pokazaniu człowieka. Stany psychiczne zostały wyrażone środkami ekspresji filmowej i mimo tego, że niemy film musiał mieć naturalną inklinację ku pantomimie, Pudowkin umiał uniknąć wszelkiej przesady w geście. Zostaje pokazywany zwyczajny człowiek w konkretnej jasno określonej sytuacji, ale pokazany tak, że jego zachowanie wyraża jego przeżycia. Wszelkie realistyczne sceny zbiorowe są oparte na wydobyciu ekspresji jednostek — na indywidualizacji tłumy.

Udźwiękowanie technicznie bezbłędne budzi jedynie w kilku epizodach zastrzeżenia. Wydaje się np., że przez zastosowanie jednego języka scena bardzo jasna i doskonale plastycznie tłumacząca się, wędrowki żołnierza angielskiego prowadzącego Amogoią na egzekucję — staje się niezrozumiała. Trudno w pierwszej

chwili pojąć, dlaczego ci dwaj ludzie, którzy obaj mówią na filmie po rosyjsku nie mogą się zrozumieć. W całym tym epizodzie wymowa obrazu jest tak sugestywna, że można było w ogóle nie stosować interpretacji słownej. Cóż lepiej może interpretować stan psychiczny owego żołnierza jak np. wprowadzenie ogromnie wymownego motywu biota.

Leszcz.

Zgon Alicji Segeń

Dnia 26 stycznia br. po długich i ciężkich cierpieniach zmarła w Białej Podlaskiej pisarka Alicja Segeń, członek Związku Literatów Polskich.

S. p. Alicja Segeń opublikowała przed wojną powieść pt.: „Anna”. Był to debiut, który wzbudził pozytywne zainteresowanie krytyki. Ciężkie kalectwo uniemożliwiło Jej dalszą pracę twórczą.

Utworzenie nowej biblioteki

Dla uczczenia pamięci Leona Pomirońskiego, znanego krytyka literackiego, który został zamordowany w roku 1943 przez hitlerowców w obozie koncentracyjnym w Majdanku, został utworzony przy Zarządzie Głównym Związku Literatów Polskich fundusz biblioteczny, jako zaczątek biblioteki podstawowej dla polonistów.

Biblioteka będzie się mieścić w Domu Literatury, w kamienicy nad schodami ruchomymi — Krakowskie Przedmieście 87/89.

POPIERAJCIE

Katolicki Uniwersytet Lubelski

Czytelnik uważa, że...

W nrze 6 (220) „Dziś i Jutro“ w dziale „Czytelnik uważa, że...“, ukazała się nota p. Tadeusza Hałucha pt. „Początkowe uwagi“. Trzeba przyznać: uwagi bardzo słuszne, lecz nie wyczerpują zagadnienia. Stąd te kilka słów.

We wspomnianej nocie chodzi autorowi o znikomą frekwencję „młodzieży akademickiej, studiującej humanistykę“ na tzw. „czwartkach literackich“. Zdaje się, że chodzi mu po prostu o polonistów. Faktem jest, że nie w każdy czwartek widać ich

w sali Odrodzenia Starego Ratusza w pokażnej ilości. Nie znaczy to jednak, że większość z nich nie zachodzi tam nigdy. Może to się nie rzucać w oczy, bo nie każda przeciętna studentka polonistyki (a na polonistyce studentek jest kilkakrotnie więcej niż studentów) nosi czapkę, a niejedna (darujcie szanowne Koleżanki!) wygląda właśnie jak „starsza pani“.

Ale nie w tym sedno sprawy. Chodzi o to, że z czwartków literackich przynajmniej to szczerze, nie zawsze

polonista odniesie pożytek. Na niektóre czwartki (ściślej: prelegentów i autorów), naprawdę nie warto chodzić. Szkoda czasu. Bo nie jest w pełni prawdziwe zdanie p. Hałucha, w którym twierdzi, że „żywe słowo wypowiedziane przez pisarza, bezsprzecznie sugestywniej działa, niż drukowane“. To zależy. Jeżeli autor swój nawet bardzo dobry utwór czyta nudnym, monotonnym, jednostajnym głosem, to słowo daje — sugestywniej będzie działało słowo drukowane. Oczywiście, nonsensem byłoby winienie autora za brak dykcji i tego tu nie czynię.

A teraz sprawa druga. Prelekcje naszych krytyków literackich nie zawsze są takie, jakich byśmy się spodziewali, znając ich autorów z czasopism. Duży zawód zrobił słuchaczom Mateuszewski, słabą kompozycją swojej prelekcji, co zauważył Pauksza w swoim „Bilansie nawet

(bardzo, przyp. mój P.) optymistycznym“ („Dziś i Jutro“ Nr 1 (125)). Większe jeszcze rozczarowanie czekało wielbicieli literatury w ostatni czwartek (23.II) na prelekcji Wojciecha Natansona pt.: „Balzac i rok Balzackowski“. Sala była nie wypełniona, lecz nabitą po brzegi słuchaczami, których przywiodło tu tak nazwisko autora „Komedii Ludzkiej“, jak i prelegenta. Tymczasem prelegent w ciągu 45 min. opowiedział kilka ciekawostek, następnie w kilku (dosłownie) zdaniach omówił najcharakterystyczniejsze rysy twórczości Balzaka i jego wpływ na naszą literaturę. To było stanowczo mało. Nie tego po tak znanym krytyku spodziewaliśmy się.

I wreszcie trzecia sprawa. W niedzielę 29.I br. Oddział Poznański Z. L. P. łącznie z władzami U. P. urządził w ramach czwartków literackich w Auli U. P. prelekcje zasłużonego historyka literatury Prof. Juliusza Kleinera pt.: „Sztuka poetycka Juliusza Słowackiego. Udział pu-

bliczności był bardzo duży (na długo przed rozpoczęciem prelekcji zabrakło biletów). Studenci jak zwykle korzystali ze zniżki. Ale... przeznaczono dla nich balkon. Prócz tego zdjęto megafony. Na szczęście prof. Kleiner pomimo podeszłego wieku ma silny, niemal młodzieńczy głos, więc i na balkonie było Go dość dobrze słyhać. Gorzej było z deklamacjami po prelekcji. Tylko nieliczne słowa z nieśmiertelnych dzieł Wieszcza, deklamowanych przez artystów scen poznańskich, dochodziły do uszu stłoczonej na balkonie „studenterii“. A na dole siedziały właśnie „starsze panie“, które „tworzyć jej (tj. literatury) nie będą“...

Resumując stwierdzić należy, że jeżeli czwartki literackie są przeznaczone i dla młodzieży akademickiej, to nie należy jej traktować po macoszemu, lecz dbać o jej realne potrzeby, starać się o to, by każdy czwartkowy wieczór nie był przez nią zmarnowany.

„Polonista U. P.“

„Egzemplarze rozpraszać tak, aby latały z rąk do rąk...“

(Dokończenie ze strony 5)

„Iliada“, „Teogonia“, „Fragm. poematu“ — opracował J. Pelc.

Tom czwarty — „Król Duch“ w opracowaniu J. Krzyżanowskiego.

Tom piąty — dramaty: „Mindove“, „Maria Stuart“, „Kordian“, „Horsztyński“

i tom szósty — dramaty: „Balladyna“, „Lilia Weneda“, „Mazepa“ w opracowaniu W. Leopoldowej.

Tom siódmy — dramaty: „Kraakus“, „Wallenrod“, „Jan Kazimierz“, „Złota czaszka“, „Beatrix Cenci“, „Fantazy“, „Beniowski“ — w opracowaniu W. Hahna.

Tom ósmy — dramaty: „Książka Miarek“, „Sen srebrny Salomei“, „Książka Niczelnym“ — opracowanie E. Sawrymowicza.

Tom dziewiąty — „Zawisza Czarny“, „Agezylaus“, „Książka Michał Twerski“, „Walter Stadion“, „Mikabeł“, „Samuel Zborowski“ — w opracowaniu Z. Libery.

Tom dziesiąty — obejmie pisma prozą. Pisma literackie, filozoficzne, polityczne, „Pamiętnik“, „Raporty“, urywki z notatników — w opracowaniu W. Floryana.

Tomy jedenasty i dwunasty obejmą listy w opracowaniu Z. Krzyżanowskiej i J. Pelca.

— Może Pan dyrektor opowie nam o szacie graficznej wydawnictwa?

— Staramy się, ażeby szata wydawnictwa odpowiadała celowi, jakie ona ma spełnić, by była godnym uczczeniem wielkiego Poety w setną rocznicę śmierci, a równocześnie stała się ozdobą bibliotek domowych najszerzych mas czytelników. Pomaga nam w tym mistrz Jan Kuglin, nasz świetny typograf. Skład i druk jest dziełem pracowników Drukarni Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, którzy nie szczędzą wysiłków, aby wydanie wypadło bez zarzutu. Okładkę projektował Stanisław Kobielski, historyk sztuki z Krakowa. Dzieła będą oprawione w półsztywną okładkę na papierze kredowym z kę, stalowego koloru i będą odbijane na pięknym bezdrzewnym, matowym papierze. Każdy tom zawiera podobizną jakiegoś autografu, bądź też podobiznę karty tytułowej pierwodruku dzieła poety. Objętość dzieł wynosi około 360 arkuszy. Tom I czy od 22 do 42 arkuszy. Najbardziej pokażne są tomy III, IV i X.

Przy tak świetnej szacie graficznej skalkulowaliśmy możliwie najniższą cenę, aby dzieła Poety były dostępne dla każdego. W prenumeracie wynosi ona 2.400 złotych.

— Wydawnictwo zapowiedziało ukazanie się pierwszej serii na miesiąc kwiecień. Jest to swojego rodzaju rekord wydawniczy. Jak daleko jest posunięte wydawnictwo?

— Mamy już wydrukowanych 10 tomów, jako ostatni znajduje się w druku tom X — mówi nie bez dumy dr Pelc.

W kwietniu rozpocznie się wysyłka w kolejności zgłoszeń. Abonentom otrzymają od razu całość XII tomów.

— Bardzo wiele osób nie zdążyło opłacić prenumeraty. Kiedy więc będzie można nabyć te dzieła?

— Najprawdopodobniej dzieła Słowackiego znajdują się w handlu księgarskim w sierpniu w cenie 4.800 złotych.

— „Ossolineum“ ma piękne tradycje wydań zbiorowych arcydzieł literatury polskiej — zauważam — choćby wspomnieć pełne wydanie Henryka Sienkiewicza, Aleksandra Fredry i Juliusza Słowackiego, i ta popularna edycja dzieł wielkiego poety do nich świetnie nawiązuje.

— Muszę Panu powiedzieć, że obecnie przygotowujemy dzieła wszystkie Słowackiego w XVI-tu tomach pod redakcją J. Kleinera, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego. Będzie to opracowanie naukowo-krytyczne z uwzględnieniem wszelkich odmian tekstu z objaśnieniami historyczno-literackimi i rzeczowymi i będzie zaopatrzone obszernym wstępem oraz szczegółową bibliografią każdego utworu. Przed wojną zdążyliśmy wydać tylko 10 tomów, które są zupełnie wyczerpane. Obecnie przedrukujemy tomy już opracowane i kontynuujemy dalsze. Praca potrwa kilka lat.

Wiemy niemal wszystko o popularnym wydaniu dzieł Słowackiego.

Snujemy refleksje. Co za przedziwne zrzędzenie losu. We Wrocławiu, w którym poeta był tylko gościem powstaje najpiękniejsza edycja Jego dzieł dla wszystkich Polaków.

„...Mam Poezje swoje — pisze poeta do matki o I i II swoim tomie — pierwszy dzień ich wyjścia był dla mnie źródłem nieskończonych przyjemności...“

„...Najdroższa Mamo. Trudno mi opisać swoją radość, jaką miałem z ostatniego listu — więc czytajcie już moje książeczki...“

„Egzemplarze rozpraszać tak, aby latały z rąk do rąk...“

Stanisław Podlewski

C o p i s z a i n n i...

W ostatnich dwóch numerach „Przeglądu Powszechnego“ (Grudzień 1949 — Styczeń 1950), wybijają się na czoło duża rozprawa ks. Leona Mońko T. J. pt.: „Konflikt czy symbioza nauki i religii objawionej“. Dobrze się stało, że autor zadał sobie trud gruntownego i bardzo przekonującego przedstawienia tego tak doniosłego problemu.

„Religia i nauka — czytamy — stanowią dwie najpotężniejsze siły ducha ludzkiego, towarzyszące zawsze jego życiu i działalności. Te dwie potęgi, nie zawsze szły zgodnie po przez dzieje. Często były skłócone, nieraz boleśnie rozdarte... Nie będzie przesady, gdy powiemy, że najbliższe dzieje ludzkości będą zależały od tego, jak nasze pokolenie rozwiąże zagadnienie wzajemnego stosunku religii i nauki, w duchu symbiozy czy też konfliktu“.

Pierwszą część swojej pracy autor poświęca analizie pojęcia nauki oraz pojęcia religii objawionej. Do sedna zagadnienia dochodzi w części drugiej. „Zarówno symbioza jak i konflikt suponują pewien wspólny teren działania, na którym strony zainteresowane mogą sobie wzajemnie pomagać lub też mogą sobie szkodzić, względnie zwalczać się. Religia i naukę łączy teren prawdy... Religia objawiona — posiadająca cały szereg tez absolutnie pewnych, bo zagwarantowanych powagą bożą, oddaje nauce w niektórych zagadnieniach ogromną przysługę. Nauka bowiem, jako twór ludzkiego poznania nie cieszy się taką pewnością... Oczywiście, nieomylnie nauczanie Kościoła nie zastąpi nigdy metody naukowej, stanowi ono jednak dla nauki normę negatywną. Gwiazda świecąca na niebie w ciemną noc, nie nauczy żeglarza sztuki nawigacyjnej, niemniej jednak dzięki jej światłu zawija on szczęśliwie do portu“.

Ks. Mońko wyraźnie precyzuje zakres nieomylności doktryny katolickiej, zaznaczając, że „kiedy z dziedziny religijnych prawd i pewników nieomylnych przejdziemy w sferę infra-dogmatyczną, tzn. do orzeczeń kościelnych niedefinitywnych“, to na tym terenie „religia operuje twierdzeniami, w których możliwość błędu nie jest wyłączona“. Typowym przykładem może być tu spór Galileusza z Inkwizycją: „Galileusz twierdził, że ziemia obraca się dookoła słońca. Inkwizycja twierdziła przeciwnie, że słońce obraca się dooko-

ła ziemi. Jedna i druga strona miała za sobą wiele poważnych racji. Jednak — jak słusznie podkreśla Whitehead — twierdzenie Galileusza nie było samo w sobie bardziej prawdziwe niż sformułowanie Inkwizycji. Pojęcie ruchu względnego jest owocem nowszych czasów. Kwestia braku stałego punktu odniesienia była pominięta przez jedną i drugą stronę. Zarówno więc Galileusz jak i Inkwizycja stwierdzili jedynie realny fakt istnienia ruchu we wszechświecie, ale istota zagadnienia pozostała bez odpowiedzi. Słusznie też zaznacza B. Russell, że „konflikt między Galileuszem a Inkwizycją nie jest zatargiem między wolną myślą a wstecnictwem, lub nauką i religią — jest to konflikt między duchem indukcji i dedukcji“.

Najbardziej interesującym fragmentem artykułu jest moment zwrócenia uwagi na twórczą wartość pozornego konfliktu między nauką a religią objawioną: „Jest rzeczą jasną, że ani w religii ani w nauce nie powinniśmy przyjmować niczego, co nie jest poparte gruntownymi racjami, opartymi czy to na własnym krytycznym badaniu, czy też, gdy takie badanie jest dla nas niedostępne, na zdaniu kompetentnych autorytetów. Skoro taka postawa nami kieruje, wówczas konflikt logiczny*) nie powinien nas przerażać. Co więcej, tego rodzaju konflikt, istniejący w sferze, którą tu omawiamy, jest niesłychanie wartościowy dla prawdy. Świadczy on bowiem o tym, że nasze dotychczasowe poznanie rzeczywistości było niewystarczające, że przed nami leżą jeszcze olbrzymie pola, które będzie można zdobyć w drodze bardziej wnikliwego i bardziej subtelnego badania“.

Kościół patrzy z wielką uwagą, ale również z wielką roztropnością na zmieniające się teorie naukowe. „Sąd Kościoła jest partycypacją poznania bożego i dlatego przelewa coś z mocy i spokoju wieczności w ustawicznie wzburzoną rzeczywistość“. Tym się na przykład tłumaczy stosunek Kościoła do teorii ewolucji i transformizmu biologicznego. Ta teoria zastosowana do pochodzenia ciała ludzkiego wcale się nie sprzeciwia

*) tzn. istniejący tylko w sferze ludzkiej interpretacji, a nie w sferze realnej.

doktrynie katolickiej. „Kościół nie miałby trudności w przyjęciu tezy ewolucyjnej. Zanim jednak to uczyni, pyta o dowody jakie przemawiają za taką tezą... Kościół jest instytucją zbyt poważną, by zmieniał swe zdanie, zanim teza przeciwna nie będzie całkowicie pewna. Jest to chyba jedynie racjonalne stanowisko, rozbrajające wszelkie zarzuty“.

„Stanowisko Kościoła w stosunku do nauki — kończy ks. Mońko — zostało jasno sprecyzowane na soborze watykańskim: „Wiara i rozum nie tylko nigdy między sobą nie mogą się różnić, lecz nawet wzajemnie się wspomagają, gdyż zdrowy rozum wskazuje podstawy wiary, a światłem jej wsparty, wydoskonala wiedzę o rzeczach bożych; wiara zaś uwalnia rozum od błędów i strzeże go, a zarazem obdarza niedojnym poznaniem“.

Z artykułem ks. Leona Mońko powinna się koniecznie zapoznać nasza inteligencja katolicka. Obok niego znajdujemy w dwóch ostatnich numerach „Przeglądu Powszechnego“ inne wartościowe pozycje. Zwłaszcza z dużym zainteresowaniem czytamy w nrze grudniowym recenzję prof. Konrada Górskiego, z książki Jana Dürr-Durskiego: „Arianie polscy w świetle własnej poezji“ („Pierwsza antologia poezji arianskiej“). Antologia ta wywołała bardzo liczne dyskusje w naszej prasie, dlatego radzi słyszemy sąd największego w Polsce znawcy zagadnienia arianizmu. Sąd prof. Górskiego jest mocno krytyczny. Autor wykazuje wiele błędów w komentarzach językowych, w egzegezie i interpretacji tekstu.

Również w numerze grudniowym czytamy pracę ks. Al. Ułowicza o „Psychologii ascezy“. W numerze styczniowym zwraca uwagę artykuł ks. K. Klósaka pt.: „Hipoteza I. Oparina o powstaniu życia“, stanowiący jeszcze jedną pozycję w zbiorze świetnych rozpraw polemicznych tego autora, który poświęcił swoje siły problemom z pogranicza nauki i religii. Dalej czytamy pracę ks. J. Rostaka pt.: „Poza Kościołem nie ma zbawienia“, gdzie autor wyjaśnia istotny sens tej zasady, która jakże często jest błędnie rozumiana. Ks. J. Majkowską zwraca naszą uwagę na problem „Czynników społecznych w życiu religijnym“. Treści numerów dopełniają stałe działy recenzyjne.

Z K.